Rok III. Maj 1918. Nr. 5.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POSWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BÁLASITS.*

TREŚĆ:

Stanisław Stroński: O 3-cim maja 1791 w rocznicę 1918.
W. Kaıniowski: Żywioły obce w przyszłem państwie polskiem.
J. Jastrzębska: O wychowaniu obywatelskim w szkole.
Wacław Sobieski: Podbój czy unia.
M. Dynowska: Charakterystyka twórczości M. Konopnickiej.
Notatki.
Sprawozdania.

Prenumerata roczna 24 kor., za półrocze kor. 12. — Cena numeru pojedynczego 2 kor. 50 hal. (2 marki 50 fen.).— Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Maj 1918. ROK POLSKI Rok III. Nr. 5.

O 3-cim maja 1791 w rocznicę 1918.

Przemówienie wygłoszone w Zakopanem dnia 5 maja 1918.

Nasza Konstytucya 3-go maja nie była jakimś oderwanym i przypadkowym porywem podrzędnego społeczeństwa w zapadłym kącie Europy, ale była, jak i musiało być w życiu narodu od setek lat ściśle zrosłego z przejściami dziejowemi i wzlotami duchowymi europejskiego Zachodu, jednem ze zjawisk, które wówczas, pod koniec XVIII-go wieku, potężnie wstrząsnęły bryłą świata i zaczęły okres dziejowy, ciągle jeszcze trwający i właśnie obecnie, zdaje się, dochodzący do szczytowego napięcia sił w ciężkiem zmaganiu się o urzeczywistnienie swych wielkich założeń i głęboko w podstawy życia ludzkości sięgających celów.

Wszak prace naszego Sejmu Wielkiego z lat 1788-1792 zbiegły się z początkami Wielkiej Rewolucyi Francuskiej, która, mimo wszystkie swe nieuchronne zboczenia i mimo ciemne nawet i krwawe plamy, była jednak jednem z największych dzieł, jak ludzkość ludzkością. Przejęta zrazu przedewszystkiem dążeniem do sprawiedliwości społecznej i do podniesienia obywatelskiej godności jednostki, które wyraziło się w sławnem obwieszczeniu praw człowieka, wydobyła jednak Rewolucya Francuska zarazem

---

O wspomnianych tu zdarzeniach i kilku danych szczegółowych znaleść można wiadomości w książkach: Albert Sorel, L'Europe et la Révolution Française, Paris 1885-1892, szczeg. t. I-IV; Zbiór mów i pism niektórych w czasie Seymu Stanów Skonfederowanych, t. I-XII; Hugo Kołłątaj i in., O ustanowieniu i upadku Konstytucyi Polskiej, Warszawa 1793; Kalinka, Sejm Czteroletni, Kraków; Askenazy, Przymierze polsko-pruskie, Lwów 1900; Smoleński, Ostatni rok Sejmu Wielkiego, Kraków 1897; Smoleński, Konfederacya Targowicka, Kraków 1903; Dembiński, Polska na przełomie, Lwów 1913.

na jaw nowe pojęcia o sprawiedliwości międzynarodowej i prawach narodów, rzucając w tym względzie hasła, które do dziś dnia i właśnie dzisiaj najżywiej nas przejmują.

Kiedy bowiem nad Rewolucyą zaciągać się poczęły coraz czarniej chmury z ościennych monarchij, wówczas zagadnienia pożycia międzynarodowego, zgody i wojny, wybijać się jęły na czoło. Panującemu w tej dziedzinie poprostu prawu silniejszego, ujętemu w najstaranniej wygładzone i najuroczyściej brzmiące a tem obłudniejsze przepisy, należało, jak mówił Camille Desmoulins, położyć kres, rzucając wszystkie księgi starego prawa międzynarodowego w ogień. Już dnia 16 maja 1790 padły w Assemblée Nationale słowa deputowanego ks. Rollet: „Niechaj wszystkie narody będą wolne jak my, a wojen już nie będzie". Jeszcze po ogłoszeniu w lipcu 1792 ojczyzny w niebezpieczeństwie: la patrie en danger, uchwaliło Zgromadzenie Narodowe dnia 10 sierpnia 1792 znany dekret, nadający miano obywateli francuskich wybitnym cudzoziemcom jak Bentham, Washington, Pestalozzi, Schiller, Kościuszko, na znak że Francya nie chce wojny z narodami, których władcy na nią nastawali. Ale najdobitniej wyraziły się te poglądy w owej chwili, gdy na posiedzeniu Assemblée dnia 20 kwietnia 1792, na którem miało zapaść postanowienie wojny, deputowany Merlin de Thionville, nie mogąc już dojść do głosu, rzucił w Izbę krótkie a jak błyskawica rozświetlające słowa: „chciałem tylko tyle powiedzieć, że należy obwieścić wojnę królom a pokój narodom", słowa, któremi przemówił setkom obecnych i setkom tysięcy w narodzie prosto z serca i stworzył na lata walk następnych hasło: guerre aux rois, paix aux nations! W tym samym zaś czasie nowo powołany na ministra spraw zewnętrznych generał Dumouriez, dawny uczestnik walk naszej konfederacyi barskiej, posyłając ambasadorowi francuskiemu w Londynie, Talleyrandowi, instrukcyę z 19 kwietnia 1792 co do zamierzonego połączenia Belgii z Francyą a oddania Anglii jednej z kolonij francuskich, dodał niebywałe dotąd zastrzeżenie, że obie te zmiany, zarówno europejska jak kolonialna, przeprowadzone być mogą jedynie za zgodą mieszkańców, o których chodzi, czyli dawał wyraz nowo powstającej zasadzie stanowienia narodów o sobie.

U nas, w obradach Sejmu Czteroletniego, to odwołanie się do praw narodów odezwało się oczywiście jeszcze dobitniej od samego początku wiekopomnych prac. Dnia 16 stycznia 1789,

w pierwszej wielkiej rozprawie nad narzuconą Radą Nieustającą, mówił Stanisław Potocki: „Niech Polak nie słyszy o haniebnych gwarancyi więzach, która mu u siebie wbrew prawu narodów rządnym być nie pozwala". A d. 20 kwietnia 1789, gdy obradowano nad oczyszczeniem obszaru polskiego z wojsk obcych, wołał Ignacy Potocki: „Prześwietne Rzeczypospolitej Stany, pomnijmy, że zwrócone mamy na siebie Europejskich Dworów oczy, że w walnej dzisiejszej Rzpltej sprawie idzie o narodów prawo". I pod tym znakiem prawa narodów szły już całe czteroletnie prace.

Odczuwano we Francyi i w Polsce tę wspólność pojęć.

Po uchwaleniu naszej Konstytucyi 3 maja, deputowany Menou, powstawszy w Assemblée Nationale dnia 28 maja 1791, celem uczczenia tego dzieła, określił je jako wynik d'un élan sublime d'amour pour la liberté et de respect pour les droits des peuples: umiłowania wolności i poszanowania praw narodów. A naodwrót u nas mówiono równocześnie w wierszu może nie bardzo gładkim, ale głęboko odczutym i w każdem słowie przemyślanym: O bogowie wolności, o święte Francuzy! Za waszem przewodnictwem, waszymi powody, Te własność zyszczą, tamte powstaną narody, Wam wdzięczność w piersiach matek dzieci wyssą z mlekiem. Że ludzie być się ludźmi, człek być poznał człekiem!

Lecz i cały Zachód wszczął podówczas dzieło przebudowy.

Mniej więcej równocześnie z Rewolucyą Francuską r. 1789 utworzyła się, po wojnie o niepodległość, Republika Amerykańska Stanów Zjednoczonych, która w r. 1787 nadała sobie do dziś dnia obowiązującą konstytucyę, a w r. 1789 wybrała Washingtona pierwszym prezydentem i weszła w ten sposób na tory nowego swego bytu. W tymże czasie w spokojny sposób dokonał się w Anglii, za Pittów, przewrót pojęć o władzy państwowej i rządowej, w tym duchu, że kierujący minister nie z woli króla ale z woli narodu, za pośrednictwem parlamentu, sprawuje swe rządy, co położyło podwaliny prawdziwego nowoczesnego parlamentaryzmy. Wreszcie, w ślad za wojskami rewolucyjnemi, przeszły po Włoszech pierwsze drgnienia przebudzenia narodowego, risorgimento, które już nie miały umilknąć.

Razem wzięte te ruchy Francyi, Anglii, Włoch, Stanów Zjednoczonych Ameryki, złożyły się na ów potężny, jeden z najznaczniejszych w biegu dziejów, przełom umysłowy pod koniec XVIII wieku. Myśmy w nim uczestniczyli Sejmem Wielkim i Konstytu-

cyą 3-go maja wraz z całem ich podłożem haseł i pojęć, piśmiennictwa i obyczajów. I wcale nie samorodność naszych dzieł ówczesnych, którą się nieraz szczególnie wysławia, ale właśnie to ścisłe zżycie się z wielkim powiewem zachodnim i współdziałanie na nasz sposób z jego budowami, jest największą chlubą naszą owej doby i niezatartem na przyszłość znamieniem kierunku dziejowego, do którego należymy. Dążenia bowiem wszczętego wówczas wielkiego przełomu miały wypełnić długie stulecie z górą dalszych dziejów ludzkości i odezwać się wreszcie tak żywiołowo w obecnej chwili.

Już ludzie owych czasów czuli, że ogromne zamierzenia, które im przyświecały, wymagać będą lat i lat i lat.

Mirabeau mówił 15 sierpnia 1790: „Wpływ Francyi pozyska bez wątpienia całą Europę na drogę prawdy, umiarkowania, sprawiedliwości, ale nie całą naraz i nie w jednym dniu, nie w jednej chwili": non pas toute à la fois, non pas en un seul jour, non pas en un seul instant.

Kiedy zaś tam we Francyi dojrzało poczucie, że najświętszą walką jest walka o prawa narodu i o prawa narodów, wtedy w kwietniu 1792 oficer armii nadreńskiej w Strasbourg, Rouget de l'Isle, w pieśni swej, wyśpiewanej już nie dla synów Rewolucyi lecz dla synów Ojczyzny — (Allons enfants de la Patrie!) — którą w kilka miesięcy później przechodzący przez Paryż batalion marsylski wniósł w prastare mury stolicy, zdobywając jej tak nazwę marsylianki, dał wyraz powszechnego jakby przeczucia długich lat ciężkich bojów, mówiąc w najgłębszej bodaj zwrotce tej pieśni, jak to po pokoleniu starszych przyjdą pokolenia młodszych i pójdą za kurzawą prochów, które tamci na drodze pochodu dziejowego zostawili, pójdą śladami ich poświęceń:

Nous entrerons dans la carrière
Quand nos aînés n'y seront plus,
Nons y trouverons leur poussière
Et la trace de leurs vertus.

I oto dzisiaj, gdy wojna sięgnęła w głębie same dusz ludzkich, gdy miliony ujrzeć zapragnęły jasno jakiś cel świetlany tych nieprzebranych ofiar i niewypowiedzianych cierpień, wzniósł się wysoko nad walczącymi, na widnokręgu świata całego, sztandar prawa narodów i swobody ich stanowienia o sobie.

Dlatego to czasy, uczucia, pragnienia Konstytucyi 3-go maja, z jej tłem ówczesnem w Europie i Ameryce, są nam dzisiaj tak

bliskie, tak znajome, tak żywe. Mówi się czasem, że historya powtarza się. Tu jednak byłoby zamało tak powiedzieć. Bo to nie jest powtórzenie, ale jest to ciągle tensam jeszcze prąd dziejowy, który wówczas wytrysnął, a dzisiaj olbrzymią ławą przepotężnej fali zalewa świat.

Stąd podobieństwa myśli i działań, ludzi i zdarzeń, celów i środków, zamachów i obron.

Bo przedewszystkiem, wbrew utartemu pojęciu, że Konstytucya 3-go maja była dziełem narodu niepodległego, a dzisiaj działać ma naród w niewoli, różnice są i pod tym względem, zaiste, mniejsze niż podobieństwa.

Polska już na długo przed Konstytucyą 3-go maja była tylko pozornie niepodległa, a w rzeczywistości bardzo zbliżona do kraju okupowanego przez obce siły zbrojne. Wszak już w zaraniu XVIII-go wieku, w czasie wojny północnej, w r. 1702, wojska carskie Piotra Wielkiego wkroczyły do Rzpltej, a konfederacya sandomierska kierowana była przez posła carskiego, Dołgorukiego, który otworzył poczet wszechmocnych ambasadorów obcych w Polsce, Kayserlingów, Repninów, Stackelbergów, Igelströmów; na sejmie lubelskim r. 1707 stanął car osobiście i przeprowadzał co chciał, mając wojska swe naokoło na ziemiach polskich; narzucony zaś wreszcie w r. 1716 przez Moskwę traktat warszawski, ograniczający wojska koronne i litewskie razem do 24.000, czyli rozbrajający państwo, musiał być zatwierdzony na pierwszym sejmie niemym r. 1717. Umowa prusko-rosyjska r. 1719, zawarta w Berlinie, która za cel miała niedopuszczenie do wzmocnienia i naprawy Rzpltej, rozszerzona została w r. 1732, znowu w Berlinie, sławnemi punktacyami Rosyi, Prus i Austryi, które nazwano przymierzem trzech czarnych orłów, a które były już wyraźnie zwiastunami rozbiorów i całkowitej niewoli. — August III wprowadzony jest w r. 1736 na tron bagnetami rosyjskimi. Po jego zaś śmierci sejm konwokacyjny r. 1764 obraduje wśród zalewu żołdactwa obcego, któremu przewodzi na warszawskim dziedzińcu zamkowym, jako przedstawiciel obcych opiekunów, generał rosyjski Roniker. — Stanisław August wstępuje w r. 1764 na tron jedynie wolą Katarzyny II z nadanym mu już poprzednio, jako wyznaczonemu królowi, przez Fryderyka II orderem Czarnego Orła. Narzucone w r. 1768 przez Repnina prawa kardynalne nierządu polskiego otrzymują pierwszą również narzuconą sejmowi gwa-

rancyę rosyjską, zawiązującą ręce narodowi w dążeniu ku naprawie, co wywołuje pierwsze nasze, przed rozbiorami jeszcze, powstanie narodowe konfederacyi barskiej. Nową tylko postać istniejącej już niewoli wprowadza pierwszy rozbiór Polski w r. 1772 wraz z obciążeniem pozostałych ziem urządzeniami w duchu potrzeb obcych, jak Rada Nieustająca, znowu zabezpieczonemi w latach 1773-5 gwarancyą obcą. — Więc Polska była już wówczas w jarzmie niewoli i okupacyi obcej, gdy zebrał się w r. 1788 Sejm Czteroletni.

I oto Sejm ten uchwala Konstytucyę 3-go maja, która we wstępie swym temi niezrównanie prostemi a jak spiż mocnemi słowy obwieszcza prawa i dążenia narodu:

„... chcąc korzystać z pory w jakiej się Europa znajduje, i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad szczęśliwość osobistą egzystencyę polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną Narodu,... chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć,... dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic z największą stałością ducha niniejszą Konstytucyę uchwalamy...“

I taksamo dzisiaj, gdy naród polski znowu uczuł, że pora, w jakiej się Europa znajduje, nakazuje mu dać wyraz istotny swym prawom i dążeniom, podniósł, jak w akcie Konstytucyi 3-go maja, w imię prawa narodów, żądanie niepodległości i należnych mu granic, a wyraził to, po szeregu drgnień w tymsamym duchu, ostatecznie w przyjętej przez całą Polskę jako głos wszystkich serc uchwale 28-go maja 1917, która obwieszcza te dwa stwierdzenia, że sprawa polska jest międzynarodowa, oraz że jedynem dążeniem narodu w obecnej wojnie jest uzyskanie pełnej niepodległości całej zjednoczonej Polski z dostępem do morza.

Z dostępem do morza, czyli z dolnym biegiem i ujściem Wisły, a więc z Toruniem i Gdańskiem!

Jakże żywe wywołuje to wspomnienia z czasów Sejmu Wielkiego.

W przededniu jego, jesienią r. 1787, dojrzał sławny plan pruski ministra Hertzberga, wedle którego, na tle powikłań europejskich i różnych zamian, miałyby Prusy zabrać sobie Gdańsk i Toruń, a właściwie dla zaokrąglenia już i województwa poznańskie i kaliskie. Dnia 3 października 1787 na sprawozdaniu mini-

nistrów napisał Fryderyk Wilhelm II własnoręcznie: „Dla nas nabytkiem najważniejszym byłby przedewszystkiem lewy brzeg Wisły i na to trzeba szczególnie pilnie baczyć, jeśli zdarzy się coś, co możliwość tego wysunie": c'est principalement la rive gauche de la Vistule qui serait pour nous l'acquisition la plus importante. Dla tej zdobyczy starały się Prusy omotać nas owem przymierzem z nami przeciw Rosyi w r. 1790, dla niej z początkiem r. 1792 przerzuciły się w tajne porozumienie z Rosyą co do drugiego rozbioru, od niej uzależniały całą swą ówczesną politykę europejską wobec Rewolucyi Francuskiej, aż wreszcie w rozbiorze r. 1793 uzyskały co chciały. W Polsce odczuwano niebezpieczeństwo i już w czasie obłudnego przymierza wołał Staszyc w swych Przestrogach dla Polski z r. 1790: „Trzymajmy się morza... Ten sprzymierzeniec dopiero przed kilku laty brał i na nowo już brać chce". Teraz zaś historyk francuski Rambaud mówi o tych latach w swem dziele z r. 1896: „Sprawa polska, albo w znaczeniu ściślejszem sprawa Gdańska i Torunia, górowała nad całą wschodnią a nawet i nad całą zachodnią polityką Europy w najdrażliwszej dobie Rewolucyi Francuskiej".

A dzisiaj znowu sprawa Gdańska i Torunia, oraz wogóle sprawa lewego brzegu Wisły, wypłynęła na widownię dziejową. Porusza ona do głębi umysły narodu polskiego, który rozumie, iż dla niego jest to sprawa rzeczywistej niepodległości i poprostu sprawa istotnie samodzielnego bytu, która, jak wówczas była znakiem zniszczenia, tak dzisiaj staje się znakiem wskrzeszania państwa polskiego. Objawiła się ona już i sprawą światową, gdy pod koniec roku 1917 w szeregu znanych i zgodnych oświadczeń podniesiono konieczność dostępu Polski do morza. A któż nie widzi, że wobec tego, iż Prusy okażą w tej sprawie dzisiaj niewątpliwie nie mniej stanowczości i zawziętości niż w owych latach 1787 do 1793, sprawa ta stanie się znowu górująca nad wschodnią i zachodnią polityką Europy w najdrażliwszej t. j. końcowej chwili wojny obecnej.

I jeszcze jedno.

Konstytucya 3-go maja nie była jedynym wówczas w Polsce kierunkiem politycznym: obok Konfederacyi Warszawskiej Sejmu Wielkiego stanęła Konfederacya Targowicka.

Dzisiaj nikt nieradby wywodzić swą wiarę narodową i swój pogląd polityczny od Targowicy.

A jednak i Konfederacya Targowicka była, w pojęciu niektórych swych twórców i zwolenników, szczerze wyznawanym kierunkiem politycznym, który miał zbawić Ojczyznę. W akcie Konfederacyi z dnia 14 maja 1792 r. w Targowicy, a właściwie z dnia 27 kwietnia 1792 roku w Petersburgu, mówiono: „Żądania nasze są, aby Rzplta udzielną, samowładną, niepodległą, w granicach całą została“. W rocie przysięgi konfederacyjnej zamieszczono wyraźne zobowiązanie: „Na oderwanie najmniejszej części kraju lub jego attynencyj pozwalać nie będę“. Wśród 23 zasad przyszłej konstytucyi polskiej, ustalonej wówczas w miejsce majowej, nie chcieli widzieć zmniejszenia podatków, ponieważ szczerze pragnęli powiększenia wojska. Więc hasła państwowości polskiej i wojska polskiego brzmiały silnie w Targowicy. I wierzono tam w nie. Carowa Katarzyna wiedziała dobrze, iż są rzeczy, których przeczucie samo grozą by napełniło twórców Konfederacyi i dlatego, polecając 29 lipca 1791 Potiemkinowi, aby zupełnie szczerze rokował z Szczęsnym Potockim i Sewerynem Rzewuskim, dodawała: „lecz okoliczność możliwego nowego rozbioru w porozumieniu Rosyi z Prusami powinna być trzymana przed wszystkimi wogóle Polakami w najgłębszej tajemnicy“. Na wiadomość o nowym rozbiorze Polski w kwietniu 1793 wniósł Rzewuski dnia 17 kwietnia w akta Konfederacyi protest drgający bólem i oburzeniem, Szczęsny Potocki czuł się człowiekiem złamanym i w liście do kanclerza Sułkowskiego z 13 czerwca 1793 klął się, że działał tylko z miłości Ojczyzny, Suchorzewski wyprowadził oddział na Wołoszczyznę, aby nie wpadł w ręce sprzymierzeńców rosyjskich.

Lecz zarazem ludzi tych, którzy mówili a nieraz i wierzyli, iż ratują Ojczyznę, już współcześni, swoi i obcy, uważali za winnych zdrady. Na wezwanie hetmana polnego Rzewuskiego do wojsk, aby łączyły się z Konfederacyą, odpowiedział d. 3 czerwca 1792 ks. Józef Poniatowski w liście podpisanym przez generałów, oficerów i żołnierzy: „Tacy jak JWPan są ohydą narodu i zdrajcami Ojczyzny; te są moje sentymenta i wszystkich podkomendnych moich, zacząwszy od prostego żołnierza“. A gdy posłowie Konfederacyi do carowej stanęli w listopadzie 1792 w Petersburgu, aby złożyć dziękczynienie, współczesny list stamtąd mówił o uczuciach Rosyan: „Posłów polskich wnętrznie sądzą zdrajcami“. Później zaś także spokojna i sprawiedliwa historya, uznając nawet niektóre pierwiastki dobrej woli u tych ludzi, skażonych zresztą przeważnie

namiętnościami i dążeniami osobistemi, lub dotkniętych brakiem rozeznania politycznego, co w ludziach wysuwających się do steru narodowego również jest zbrodnią, ale mając na oku całość działania i jej wyniki, wypowiada przecież sąd, w którym brzmi zarzut największej winy narodowej.

Jeśli jednak pozostać na gruncie odmiennych poglądów politycznych, jakaż była różnica?

Wszak już poseł pruski w Warszawie w czasie Sejmu Wielkiego, niezatartej pamięci Lucchesini, mówił w r. 1794, gdy dzieło było dokonane, ambasadorowi rosyjskiemu Razumowskijemu, że Polacy we wszystko zawsze uwierzą: Calmez-vous, ces bonnes gens croient tout!

Kiedy Szczęsny Potocki, mając już wiadomość o drugim rozbiorze, stanął w Petersburgu przed carową Katarzyną, odbyła

się pamiętna rozmowa: — Jak się masz, kochany Panie Potocki? — Mam się dobrze. Najjaśniejsza Pani, ale Ojczyzna moja... — Ojczyzna Pańska jest tutaj! zawołała carowa, tupiąc nogą w podłogę: Votre patrie est ici! — Są dzisiaj u nas politycy, ciągle mimo wszystko nieuspokojeni, ciągle czynni, ciągle zabiegliwi, ciągle pomysłowi, ciągle znajdujący dobre wyjaśnienia, ciągle pełni otuchy, jakby dążyli prosto i uporczywie do chwili, gdy usłyszą znowu znane nam już słowa: Hier kenne ich nur Preussen!

Przeżywamy w dalszym ciągu przełom dziejowy, który się zaczął w końcu XVIII-go wieku. Na szerokim świecie zmagają się dążności do przemocy nad narodami i do stanowienia narodów o sobie. U nas ściera się pęd do niepodległości z przyzwyczajeniem do zawisłości, prąd wiary w siebie z prądem niewiary, kierunek Konstytucyi 3 maja z kierunkiem Targowicy. Ale nie jest już i na świecie całym i u nas tak duszno jak było wówczas, gdy przed stu z górą laty ruch ten się zaczynał. Pod sztandarem praw narodów stają wielkie państwa.

Świat poszedł naprzód i są znaki, że zwycięży w nim zasada stanowienia narodów o sobie,

Stanisław Stroński.

Żywioły obce w przyszłem państwie polskiem.

Nieznane są nam dzisiaj granice przyszłego państwa polskiego. Ale bez względu na to, jak rozległe przestrzenie one obejmą, pewnem jest, że to państwo będzie liczyło znaczny odsetek obcych, niepolskich żywiołów. Nie mamy bowiem dzielnic, któreby miały bezwzględnie jednolity narodowy charakter. Wszędzie istnieją większe lub mniejsze domieszki pierwiastków odrębnych rasą, językiem i poczuciem plemiennem. Jaskrawym tego objawem jest fakt, że niema u nas miast bezwzględnie polskich; są miasta polsko-żydowskie lub polsko-niemieckie. Otóż ten stan rzeczy jest źródłem wielkich trudności w przyszłem naszem życiu politycznem. Niewątpliwie będzie on przyczyną wielu ciężkich konfliktów. Nie wyobrażajmy sobie, że opieka państwowości polskiej, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przeobrazi te wszystkie żywioły w wiernych i oddanych obywateli państwa, że ono ochoczo uznają stanowczy głos naszego narodowego interesu. Możemy szczycić się przeszłością, wspominać duchowe podboje dawnej Rzeczypospolitej, która umiała wchłaniać wiele obcych żywiołów i między nie wprowadzać pokój narodowy. Jest to przeszłość, która już minęła i nie wróci w dawnej postaci. Teraźniejszość żyje pod znakiem wielkiego napięcia narodowych antagonizmów. Wszelkie odrębności narodowe wydobywają się na powierzchnię i w ciężkiej walce z innemi zdobywają sobie byt własny.

To też naiwnym byłby pogląd, upatrujący w różnorodnym składzie narodowym państwa szczególne źródło jego siły lub nawet czynnik, niekrępujący zbytnio jego rozwoju. Rzeczywistość dowodzi czego innego. Najsilniejszem życiem kulturalnem żyją kraje, jednolite pod względem narodowym. One mogą rozwijać u siebie

normalne życie polityczne. Tam zaś, gdzie wytworzyła się mieszanina narodowa, współzawodnictwo różnych narodów zużywa wzajemnie ich siły, doprowadza nieraz do zdziczenia, a w każdym razie do bezpłodnych walk i zatargów. Wytwarza się tam niezwykle ciężka atmosfera, w której nieraz żyć trudno. Mówi wprawdzie znane greckie przysłowie: „ojcem wszystkiego jest walka", ale dodatnim pierwiastkiem może ta walka być wtedy, gdy prowadzi do pokoju, gdy pozwoli w twórczej pracy rozwinąć siły, zahartowane w boju. Ale jeżeli walka narodowa nie ustaje ani na chwilę, jeżeli wykrzywia każdą stronę życia narodowego i nie dozwala na wewnętrzny rozwój, to w takim razie staje się żywiołem wstecznym, doprowadza do tego, że różne grupy narodowe wzajemnie się paraliżują, zamiast wyprzedzać się we współzawodnictwie. By się o tem przekonać, wystarczy porównać rozwój Francyi lub Anglii ze stosunkami, panującymi na bałkańskim półwyspie. Macedonia nie jest krajem, z którego możnaby czerpać wzory życia politycznego. To też różni utopiści, snując plany idealnego ustroju, osadzali zwykle swoje wymarzone społeczeństwa na wyspach, izolowanych od zetknięcia z resztą świata, nie dopuszczali istnienia wewnętrznych sporów narodowych, któreby psuły harmonię społecznego pożycia.

Nie cieszmy się więc tem, że na naszej ziemi tyle obcych żywiołów znalazło gościnne przyjęcie, nie entuzyazmujmy się zbytnio myślą, że my w naszem państwie potrafimy stworzyć eldorado dla tych wszystkich narodowości. Jest to problem ciężki, z którego wybrnąć trzeba. Najcięższą niewątpliwie jest tutaj kwestya żydowska, ale będą i inne kwestye. Przez długi czas ich rozwiązanie wydawało się łatwem. Rzucono hasło asymilacyi, które miało rozstrzygnąć wszystkie trudności.

Hasło to w zupełności zbankrutowało, o ile chodzi naprzykład o asymilacyę żydów. Okazało się, że masa żydowska zasymilować się nie da, że nasz organizm nie jest w stanie jej wchłonąć, gdyby nawet chciał. Co najwyżej, uzyskano asymilacyę pozorną części żydowskiej inteligencyi, która jednak nie weszła istotnie w skład polskiego społeczeństwa. Z punktu widzenia narodowego nie każda asymilacya jest pożądana. Najpierw musi to być asymilacya b e z w a r u n k o w a. To znaczy jednostka, która wchodzi w skład nowej jedności narodowej, musi wyrzec się wspólności z tem środowiskiem plemiennem, które opuszcza, winna przeciąć

wszelkie węzły, łączące ją z dawną narodowością. W przeciwnym razie jest żywiołem, nieokreślonym pod względem narodowym, stoi na rozdrożu, jest reprezentantem, świadomym czy nieświadomym, obcych interesów w nowem środowisku narodowem, psuje jego zwartość i jednolitość. Następnie asymilacya musi być g r u n t o w n a w tem znaczeniu, że nowo nabyta jednostka pozytywnie przejmuje się całą kulturą narodu, ma dla niej pełne zrozumienie i odczucie do tego stopnia, że niczem się nie różni od ludzi, którzy w tej kulturze od dzieciństwa wyrośli.

Wiadomo, jak smutno pod tym względem przedstawiała się asymilacya Żydów. Jeżeli Niemiec z pochodzenia stawał się Polakiem, uczestniczył bezwzględnie po stronie polskiej w walce żywiołu polskiego z żywiołem niemieckim. Polak żydowskiego pochodzenia jest zwykle, poza nielicznymi wyjątkami, przedstawicielem żydowskiego interesu w polskiem społeczeństwie. Bardzo często, jest tym Polakiem za krótkoterminowem wypowiedzeniem; niechaj tylko zaostrzy się antagonizm polsko-żydowski, ów polski patryota przeobraża się w żydowskiego patryotę. Są znów zasymilowani Żydzi, którzy utrzymują związek tylko z tak zw. polskim postępem, który w znacznej mierze był produktem ich ducha. Z resztą Polski nie mają oni nic wspólnego. A zaś pozytywne wsiąknięcie w kulturę polską przez Żyda, który w niej nie wyrósł, jest rzeczą bardzo ciężką. Przez długi czas było u nas popularnem wyrażenie: „Polak mojżeszowego wyznania". Jeżeli to wyrażenie weźmiemy dosłownie, z całą treścią, którą ono oznacza, mamy tu do czynienia z rzeczą sprzeczną samą w sobie. Nie można być Polakiem, a równocześnie istotnie, nie tylko formalnie, pozostać wiernym religii mojżeszowej, która wnosi zupełnie sprzeczny z naszym pogląd na świat, która reguluje całe życie społeczne i życie jednostki w sposób, sprzeczny z kulturą Europy zachodniej, która daje podstawy do zachowania plemiennej odrębności żydowskiej w najtrudniejszych warunkach. Z Żyda, który był n a p r a w d ę Żydem, stać się n a p r a w d ę Polakiem, to rzecz ogromnie trudna, granicząca niemal z cudownością.

Ale nawet w tych warunkach, w których asymilacya idzie o wiele łatwiej, nie jest ona w stanie rozwikłać naszego stosunku do któregokolwiek z żywiołów obcych, żyjących w większej liczbie na naszej ziemi. Asymilacya dzisiaj, w okresie ogromnego wzrostu świadomości narodowej, w czasie zaostrzonej walki o narodowe

prawa, może być tylko ruchem jednostkowym, może dotyczyć większej lub mniejszej grupy osób, zawsze jednak ta grupa stanowi nieznaczną tylko mniejszość w środowisku, porzuconem przez siebie. Co zaś zrobić z masą obcą, która domaga się swoich praw, która te prawa uzyskuje dzięki postępującej naprzód demokratyzacyi, a która nie chce się wyrzec swojej narodowej czy plemiennej odrębności, a przeciwnie, chce ją rozwijać na każdym kroku?

W Prusiech znaleziono receptę na te trudności. Nie da się wchłonąć obcego żywiołu — więc trzeba go wywłaszczyć, wysiedlić, wytępić. Niezaprzeczenie jest to lekarstwo bardzo proste i bardzo gruntowne, stosowane zresztą ze skutkiem od tysiąca lat. Ale przychodzą czasy, w których medycyna polityczna musi rozglądnąć się za innymi środkami leczniczymi, gdyż dawne już nie skutkują, albo nie wolno ich stosować. To też nie będziemy się zastanawiali nad tem, czy mamy się przejąć pod tym względem tym wykwitem kultury zachodniej i według tych metod postępować z obcymi narodami. My na tę drogę nie wkroczymy.

Nie będą nas najpierw parły w tym kierunku nasze tradycye narodowe. Przezorność polityczna każe nam unikać tych bezwzględnych metod, gdyż doświadczenie uczy, że ucisk narodowy w brutalnej postaci prowadzi raczej do rozbudzenia oporu wśród czynnika, który chce się zgnębić, zamiast zmniejszyć jego siłę. Ale choćbyśmy nawet chcieli posługiwać się ostremi narzędziami walki narodowej, nie będziemy mogli tego zrobić ze względu na warunki, w jakich się znajdzie polskie państwo. Wojna obecna toczy się pod hasłem zabezpieczenia praw narodów, zwłaszcza mniejszych i słabszych. Nałoży ona na narody, którym da władzę państwową, obowiązek poszanowania narodowych mniejszości, tolerancyi w stosunku do ich życia kulturalnego. Zasada stanowienia narodów o sobie, na którą się chętnie powołujemy, obowiązuje także i na wewnątrz. Przy zachowaniu naszego stanowiska jako gospodarza państwa, przy utrzymaniu polskiego charakteru naszej państwowości, będziemy musieli pod niektórymi względami poczynić ustępstwa na rzecz innych narodów, żyjących na naszej ziemi. Trzeba tak zbudować ustrój polityczny, by on z jednej strony dawał w nasze ręce kierownictwo państwa, z drugiej zaś zabezpieczał mniejszościom narodowym te prawa, które im się słusznie należą.

Otóż ten fakt, że państwo polskie, jakkolwiek będzie państwem narodowem, będzie miało w swoich granicach mniej lub więcej liczne żywioły obce, trzeba wziąść za punkt wyjścia przy określaniu podstaw przyszłego ustroju. Niepodobna kopiować instytucyi, funkcyonujących prawidłowo w życiu państw pod względem narodowym jednolitych i przenosić ich do życia państwowego narodu, mającego silną domieszkę obcych żywiołów. Takie naśladownictwo przyniesie jak najgorsze skutki. Trzeba ustrój nasz przystosować do tych specyalnych warunków, w jakich on się znajdzie. Zasada względności instytucyi politycznych jest powszechnie uznana z uwagi na różnice w społecznym i kulturalnym rozwoju różnych krajów. Dzisiaj losy młodej „republiki" rosyjskiej udowadniają *in anima vili* nicość ogólnych doktryn politycznych, a przeszkodą w stosowaniu tych samych zasad ustroju w różnych krajach jest nietylko ich analfabetyzm, ich słaba siła gospodarcza i brak tradycyi życia politycznego. Wchodzi tu w grę także czynnik narodowej różnorodności, na który zamało dotychczas zwracano uwagi. Tasama zasada organizacyi państwowej może być ze skutkiem stosowana do Niemców i Czechów, z osobna wziętych, gdyż każdy z tych narodów już miał czas dojrzeć do jej przyjęcia; natomiast zastosowana tam, gdzie razem żyją i Czesi i Niemcy, może wydać jak najgorsze skutki.

Jakie idee przewodnie mają określić prawne podstawy życia różnych narodów w naszem państwie? Zasadniczy punkt wyjścia jest zupełnie jasny. Nie możemy zasymilować obcych żywiołów, które się znajdą w naszem państwie; nie możemy i nie chcemy ich wytępić i usunąć; ponieważ współżycie z nimi nie może być tak ścisłe, jak nasze wewnętrzne życie narodowe, należy w interesie ogólnym, izolować, wyodrębnić prawnie te żywioły, zmniejszyć powierzchnię tarcia między nimi a nami. Wszyscy wyjdą dobrze na takiem uregulowaniu sprawy. My zyskamy, gdyż czynniki obce nie będą zanadto splątane z naszem życiem politycznem, nie będą na każdym kroku krępowały swobody naszych ruchów, a natomiast te mniejszości narodowe znajdą uznanie swojej odrębności. Trzeba więc tak skonstruować ustrój polityczny, by u jego zasadniczych podstaw występowały odrębnie różne pierwiastki narodowe państwa i na tej podstawie mogły rozwijać swoje własne życie.

Przypatrzmy się bliżej, na jakimś doniosłym przykładzie,

w czem tkwi główny ciężar współżycia z innymi żywiołami narodowymi i plemiennymi. Dlaczego nam tak ciężko z kwestyą żydowską? Czy tylko dlatego, że Żydzi stanowią tak znaczny odsetek ludności, mieszkającej na ziemiach polskich, że w jednej z dzielnic jest ich aż 14% jej ogółu? Oczywiście liczba ma swój wielki walor, ale nie tłómaczy ona wszystkiego. Gdyby Żydzi żyli u nas po miastach w zamkniętych ghettach, gdyby zajmowali zupełnie odrębne dzielnice, mieli własne życie gospodarcze, kulturalne i polityczne, stykali się tylko dorywczo z resztą ludności, to kto wie, czyby ich rola w ogólnem naszem życiu narodowem nie była mniejsza, aniżeli jest obecnie. Dzisiaj Żydzi mają wpływ ogromny na nasze życie polityczne, zwłaszcza w Galicyi, a to nie tyle dlatego, że jest ich tylu a tylu, że zgromadzili znaczny kapitał ruchomy, lecz raczej z tego powodu, że wyrośli do roli rozjemcy w wewnętrznych naszych sprawach, do roli języczka u wagi, który daje przewagę czynnikowi politycznemu, bardziej dla siebie pożądanemu. Czynnik ten nie zawsze jest najlepszym z punktu widzenia narodowego.

Przypatrzmy się wyborom do parlamentu w mieście Krakowie. Na pięć okręgów wyborczych, na które podzielono Kraków, jest jeden okręg z większością bezwzględnie żydowską. Jest rzeczą zupełnie prawidłową, że Żydzi z tego okręgu wybierają swojego posła i że wyborcy chrześcijańscy nie wywierają tam wpływu na bieg wyborów. W innych okręgach są Żydzi przeważnie skąpą mniejszością. W okręgu VIII żydzi stanowią około 17% ogółu wyborców, w IX — 37%, w X — 7%, w XI zaś 10% ogółu. Otóż nawet w tych okręgach, gdzie ich jest najmniej, głos ich znaczy wiele, gdyż przy naturalnej walce stronnictw wewnątrz polskiego społeczeństwa Żydzi mogą poprzeć tego kandydata, który im jak najbardziej dogadza. Nie rządzą się oni pod tym względem ogólnemi potrzebami politycznemi, a wyłącznie tylko tem, który z kandydatów jest mniej niebezpieczny dla żydowskich interesów. Tak więc wybory mogą dać łatwo wynik, który nie odpowiada opinii polskiego społeczeństwa, który nawet fałszuje tę opinię — a to tylko dlatego, że żywioł obcy, będąc pomieszany z ludnością rodzimą, może rozstrzygać w jej domowych sporach.

Wogóle mieszanina narodowa w ustroju politycznym sprzyja nienaturalnym, a więc niemoralnym sojuszom. W społeczeństwie każdem muszą się toczyć walki wewnętrzne. Istnieją w nich dwie

grupy stronnictw. Jedne usiłują swoim programem objąć całość życia narodowego, chcą doprowadzić do wewnętrznego kompromisu w kwestyach społecznych, by utrzymać ścisłą solidarność na zewnątrz. A zaś obok nich istnieją stronnictwa, radykalne czy zachowawcze, które przedewszystkiem wyrażają interes pewnej warstwy, które zorganizowały się na zasadzie obrony tego interesu. Otóż jeżeli walka toczy się wewnątrz społeczeństwa, zwykle weźmie górę stronnictwo, reprezentujące szerszy program narodowy. Ale sytuacya się zmienia, gdy na wynik wszelkiego rodzaju głosowań mają wpływ elementy, obce pod względem narodowym. Dbają one przedewszystkiem o swój własny interes. Nie wiele obchodzą je problemy, wokoło których grupuje się przeważna większość społeczeństwa. Nie zawsze mogą one przeprowadzić przy wyborach swoich własnych kandydatów, ale zato w wielu innych miejscach sprzedają swoje głosy temu, kto najbardziej uwzględni ich odrębne roszczenia narodowe. Nie pytają się o to, jaki program reprezentuje w społeczeństwie kierunek, z którym się doraźnie łączą. Te obce narodowości, choćby były najbardziej konserwatywnie usposobione, gotowe są poprzeć skrajnie radykalny odcień żywiołu panującego, byle tylko uzyskać poparcie swych roszczeń. Tworzą się wtedy sojusze różnych grup narodowościowych ze stronnictwami skrajnemi społecznie, a obojętnemi narodowo. Wtedy może się zdarzyć, że istotna wola narodu, która chce polityce nadać zdecydowany kierunek, nie znajdzie odzwierciedlenia w dostatecznie silnej większości, a dojdą do znaczenia żywioły co do składu swojego bardzo różnorodne, nie połączone jedną wspólną ideą, lecz przypadkowymi kompromisami.

A następnie stłoczenie razem różnych narodowości w jedne organizmy wyborcze wywołuje ogromne walki w ich łonie, może obniżyć całe ich życie polityczne. Pamiętajmy o tem, że z pośród wszystkich haseł, przemawiają dzisiaj najsilniej do instynktów mas hasła narodowe, które są w stanie uzbroić jednych przeciw drugim. Wzrost świadomości narodowej jest dzisiaj zarazem i wzrostem narodowych nienawiści, Jest to fakt niezaprzeczony, który ogromnie utrudnia współżycie w społeczeństwach, mieszanych narodowo. Złagodzić ujemne skutki tego stanu można tylko wtedy, kiedy się usunie sposobność do walki, o ile to tylko jest możliwe. Niechaj Polacy, Niemcy, Żydzi, przygotowując wybory walczą wyłącznie tylko w granicach swojego skupienia narodowego czy

plemiennego, a wtedy dojdą jakoś do ładu. A jeżeli się ich wszystkich sztucznie sprowadzi razem, jeżeli każe się im wspólnie wybierać jednego posła, to łatwiej dojdzie do rzezi, aniżeli do zgody.

Przez pewien czas liczono na to, że uda się przez odpowiednie skonstruowanie, otwarcie mówiąc, ograniczenie prawa wyborczego przeciwdziałać rozpętaniu walk narodowościowych i zabezpieczyć znaczenie głównego czynnika państwowego. Ale obecnie już minął czas ograniczeń prawa wyborczego. A to nie dlatego, by prawo powszechne było idealnym, bezwzględnie od innych lepszym systemem wyborczym. Inne względy przemawiają za utrzymaniem tego systemu. Najpierw sam fakt, że on już istnieje na ziemiach polskich, a nie podobna w niepodległem państwie polskiem dawać ciaśniejszych praw wyborczych aniżeli te, które mieli Polacy pod obcem panowaniem. Byłby to czyn niezgodny niejako z wychowawczemi zadaniami polskich urządzeń politycznych. Następnie trzeba się liczyć z faktem, że ograniczone prawo wyborcze do ciał reprezentacyjnych stanie się niebawem anachronizmem. Dzisiaj oświadcza nawet rząd pruski, że stoi i pada z równem i powszechnem prawem wyborczem. Trzeba się liczyć z faktem, że obecna wojna pociągnęła masy do wielkich ciężarów, trudno stwarzać ustrój polityczny, pozostający z tem w dysharmonii. Gdyby zresztą wprowadzono ciasne prawo wyborcze, to byłby to główny zarodek radykalnej agitacyi, a zarazem najskuteczniejsze jej narzędzie. Odrazu, zamiast pozytywnej twórczej pracy, rozpoczęłaby się walka o rozszerzenie prawa wyborczego i wyjałowiłaby całe życie polityczne.

To też żywioły bardziej umiarkowane nie powinny się lękać demokratycznych zasad prawa wyborczego, winny tylko przystosować się do niego, zorganizować się w ten sposób, by stworzyć przeciwwagę skrajnym zapędom. Radykalne hasła społeczne, które nie mają względu na interes narodowy, nie znajdą stanowczego posłuchu w polskiem społeczeństwie, ale trzeba, by to społeczeństwo mogło samo rozstrzygać o swojem przedstawicielstwie, bez współudziału obcych rozjemców. Gdy będziemy sami, możemy nie obawiać się jakiegokolwiek systemu wyborczego, bo wtedy zwycięży uczucie narodowe i świadomość wspólnego interesu. I dlatego przeprowadzenie zasady izolacyi obcych narodowo żywiołów jest koniecznem, jest warunkiem uznania zasady powsze-

chnego i równego prawa wyborczego. Niechaj obce żywioły głosują osobno, w kuryach narodowo-wyznaniowych i wybierają swoich własnych przedstawicieli.

Przeprowadzenie tej zasady mogłoby wydawać się komuś niebezpiecznem z tego powodu, że zawiera ona niejako prawnopolityczne uznanie narodowości żydowskiej z wszystkiemi konsekwencyami, które z tego płyną. Zasadniczo biorąc zastanówmy się nad tem, jakie dodatnie korzyści przynosi polityka chowania głowy w piasek na widok faktu, że Żydzi stanowią u nas odrębną społeczność? Czy to jest tajemnicą? Jakie zaś prawa mają przysługiwać Żydom z tego tytułu, że się ich wyodrębni w osobną kuryę, to tego nie przesądza jeszcze sam fakt ich wyodrębnienia. To zależy dopiero od Sejmu, w którym Żydzi, podobnie jak i inne żywioły obce, będą mniejszością, i na którego skład będą mieli mniejszy wpływ, niż mają go przy dzisiejszem prawie wyborczem. Albowiem wtedy będą rozporządzali tylko swoimi żydowskimi głosami; a dzisiaj, jak wiemy, znajdują gorliwych obrońców także i wśród Polaków niemojżeszowego wyznania, a to w zamian za poparcie, którego im udzielają przy wyborach. A zresztą nie chodzi tu o formalne uznanie Żydów za naród w pełnem słowa znaczeniu. Albowiem nie potrzeba tu wyraźnie uznawać narodowości żydowskiej. Podstawą dla wydzielenia kuryi żydowskiej może być tylko wyznanie. Niechaj w tej kuryi Żydzi swobodnie stanowią o sobie, niechaj zdecydują, czem chcą być, czy chcą mieć ściślejsze związki ze społeczeństwem, wśród którego żyją, czy też chcą się od niego odsunąć. Niechaj tam ścierają się asymilatorzy z narodowcami, postępowcy żydowscy z chassydami.

Inna obawa jeszcze może się tu nasunąć: jest nią wzgląd, czy utworzenie kuryi narodowych względnie wyznaniowych nie powstrzyma tam procesu asymilacyjnego, gdzie ten proces może się odbywać z korzyścią dla nas. Jest to obawa w każdym razie przesadna. Przynależność do tych kuryi może zależeć albo od wyznania, jak np. co do Żydów, albo od dobrowolnego zgłoszenia się jednostki. Jeżeli ktoś przy jednym spisie zgłosił się do kuryi niemieckiej, może za lat kilka zgłosi się do polskiej, jeżeli przez ten czas uświadomił sobie nową przynależność narodową. Sam fakt, że istnieją kurye narodowe, bynajmniej nie powstrzymuje asymilowania się jednostek, podobnie jak brak tych kuryi, zmieszanie

w jednolitych okręgach wyborczych, nie przyspiesza procesu asymilacyjnego.

Jeżeli się nie może żyć z kimś zgodnie, a nie można go usunąć z powierzchni ziemi, to lepiej jest się z nim rozejść. Leży to w obustronnym interesie. Taka jest zasadnicza podstawa idei, bronionej w obecnym artykule. Rzeczy te wiszą jeszcze w powietrzu. Ale mogą na nas spaść lada chwila. I dlatego winniśmy przygotować się na nie, winniśmy o nich myśleć, wypracować ideowe podstawy naszego ustroju, któryby godził szczęśliwie konieczne ustępstwa na rzecz innych z naszym interesem narodowym. Reprodukowanie starych szablonów przedwojennych nie zda się na wiele. Trzeba się zdobyć w tej dziedzinie na twórcze pomysły, uwzględniające warunki, w których się znajdziemy po wojnie.

W. Karniowski.

O wychowaniu obywatelskiem w szkole.

Wychowanie obywatelskie stanowi w ostatnich czasach, to znaczy w ostatnich paru dziesiątkach lat wielką troskę pedagogii, Sprawa ta została uznana za ważną we wszystkich państwach i wszędzie została rozstrzygnięta w ten sposób, że wprowadzono do szkół, najczęściej jako odrębny przedmiot, udzielanie wiadomości o prawnych urządzeniach państwa, stanie gospodarczym, stosunkach przemysłowych itp.

Rzecz nie jest nowa. Ideał wychowania Grecyi i Rzymu ograniczał się do wychowania obywatela, uległo to zmianie w wiekach średnich wobec światopoglądu średniowiecza i odmiennych podstaw organizacyi tworzących się jednostek państwowych. W epoce odrodzenia sprawa wychowania obywatelskiego wróciła na porządek dzienny i odtąd umysły wielkich pedagogów zajmowały się nią bez przerwy.

Gdy w XVIII wieku wychowanie młodzieży zaczęło przechodzić w ręce państwa, wychowaniem obywatelskiem zainteresowały się rządy. Stanowisko, jakie zajmowały wobec tej sprawy, było zależne od ustroju politycznego danego państwa. Różne też kreślono ideały wychowania, niekiedy ograniczano się tylko do udzielania wiadomości o ustroju prawnym, uznając to w państwach konstytucyjnych za niezbędne. W większości jednak wypadków usiłowania rządowe miały na celu użycie szkoły, jako środka politycznego: wychowania młodzieży w uczuciach monarchicznych, zwalczania socyaldemokracyi i t. p. [1]). Zrozumiałą z tego punktu wyjścia staje się opozycya niektórych partyi przeciwko wprowadzaniu do szkół pouczeń prawno-państwowych. Występowali też

---

[1]) Orędzie Wilhelma II. z roku 1889.

przeciw temu indywidualiści, którzy zasadniczo lękali się hamowania rozwoju indywidualności jednostki.

Sprawa jednak powstrzymać się nie dała i w dalszym rozwoju była traktowana coraz to szerzej i głębiej.

Dzisiaj jest dla każdego jasnem, że wykształcenie czy wychowanie obywatelskie nie polega jedynie na nabyciu wiadomości o prawno-państwowych urządzeniach, o stanie gospodarczym kraju, stosunkach handlowych lub t. p., że stanowi to dopiero jedną stronę wychowania obywatelskiego i że poza tem potrzeba oddziałać: 1) na uczucie, rozbudzić miłość do ojczyzny i zrozumienie swego obowiązku wobec niej; 2) tak wykształcić wolę wychowańców, by obowiązki wobec państwa były bezwzględnie spełniane.

W ten sposób pojęte wychowanie obywatelskie obejmuje to, co u nas w ostatnich czasach rozumiano pod nazwą nauki o Polsce współczesnej, a zarazem staje się identycznem z ogólnym celem wychowania, z pojęciem szkoły narodowej.

Dla naszego społeczeństwa sprawa wychowania obywatelskiego nie będzie kwestyą sporną. U nas wychowanie zawsze pojmowano jako narodowe i obywatelskie. Ideał ten nakreśliła Komisya Edukacyjna i odtąd, o ile tylko mogliśmy sami wychowywać, mieliśmy zawsze ten cel na oku. Nie chcę twierdzić, byśmy zawsze spełniali to zadanie dobrze; szkoły nasze zwracały zbytnio uwagę na jednostronny rozwój uczniów, na intelektualizm, wychowanie narodowe zwracało się do uczucia, a sfera woli pozostawała nietknięta. Obca szkoła rosyjska dawała poniekąd podnietę w tym kierunku, budząc stałą reakcyę wśród młodzieży, ale to nie mogło wystarczyć.

Obecnie trzeba zdać sobie sprawę z tego, że jeżeli cel wychowania był u nas pojmowany trafnie, to środki stosowane pozostawiały wiele do życzenia i że metodę działania należy zmienić, bo samo nabywanie pojęć nie wystarczy dla wychowania obywateli: wiedzieć, jak postępować należy, nie znaczy, że się tak postępować będzie.

U nas nie istnieje to, tak groźne gdzieindziej, niebezpieczeństwo, użycia szkoły przez państwo jako środka politycznego. Szkolnictwo nie ma służyć widokom jakiejkolwiek teoryi politycznej, lecz wychowywać ludzi w najszerszem tego słowa znaczeniu z uwzględnieniem strony fizycznej, sfery myśli, uczuć i woli.

Szkoła powinna nie uczyć tylko, a wychowywać, ale wychowywać jednostki samodzielne, rozbudzić potrzebę pracy nad sobą, ona nie tworzy człowieka w uczuciu, lecz dopomaga mu w tworzeniu siebie.

Wychowanie normalne musi być narodowe, bo narodowość jest najsilniejszym pierwiastkiem duszy ludzkiej, główną podstawą odrębności indywidualnej ludzkich społeczeństw, na tle której rozwija się dopiero indywidualność poszczególnych jednostek. Ideał narodowy nie stoi w sprzeczności z ideałem wszechludzkim, „do obywatela wszechświata dochodzi się przez obywatela swego państwa“ (Kerschensteiner).

Stawiając cel wychowania obywatelskiego należy zdać sobie sprawę, że chodzi tu o trzy dziedziny działania: 1) na intelekt przez zapoznanie wychowańca ze stanem obecnym państwa, w szerokiem znaczeniu tego słowa, z ustrojem prawnym, stanem gospodarczym, stosunkami przemysłowymi, bogactwem naturalnem kraju, stosunkami międzypaństwowymi i z rozmaitymi terenami pracy narodowej; 2) działanie na uczucie przez rozbudzenie miłości ojczyzny i 3) na wolę, by wyrobić poczucie odpowiedzialności, zrozumienie swych obowiązków i praw, potrzebę pracy społecznej i przyzwyczaić do wypełniania obowiązków państwowo-społecznych. Punkt ostatni jest najważniejszy.

Najgorszym wrogiem życia społecznego jest obojętność. Lepszy jest wpływ nawet jakiejś doktryny jednostronnej, niż zupełna bierność, Wszak człowiek wywiera wpływ na sprawy społeczne nietylko wtedy gdy jest czynny, abstynencya, nieinteresowanie się życiem narodowem jest również czynem, ale bezwzględnie ujemnym dla dobra ogółu. A tej obojętności jest u nas bardzo wiele. Dość zwrócić uwagę na jakiekolwiek wybory, porównać ilość oddanych głosów z ilością uprawnionych do głosowania. A co się dzieje we wszystkich naszych stowarzyszeniach, choć nie brakuje krytyki ich działalności.

To wszystko wynika z niespełniania obowiązku państwowego, bardzo często z niezdawania sobie sprawy z tego, ale również często ze słabości woli — braku wytrwałości.

Wychowanie obywatelskie nabiera specyalnej wagi dla nauczycieli ludowych, bo od nich zależy wychowanie w tym kierunku szerokich warstw przyszłych pokoleń, a w bardzo znacznej mierze wykształcenie obecnych już dorosłych pokoleń. Nasz nauczyciel

długo jeszcze musi pozostać wychowawcą nie tylko dzieci i młodzieży, lecz i rodziców. W jego ręku leży urzeczywistnienie połączenia domu i szkoły. Szkoła musi stać się środowiskiem szerzącem kulturę nazewnątrz w równej mierze jak i wewnątrz, jeżeli ma być dziełem żywem, nie martwym szablonem, wtłaczającym tylko w głowy dzieci szeregi wiadomości, po to by je zapomniały niebawem po wyjściu ze szkoły.

Takie zadanie, które podwaja lub potraja nawet pracę nauczyciela, dla niego samego stanie się życiodajnem, nada walne podstawy jego działalności, zabezpieczy jej trwałość, zespoli go z otoczeniem, uchroni od rozczarowań i t. d.

Jak powinno się przeprowadzać w szkole wychowanie obywatelskie?

Każda szkoła pośrednio działa w tym kierunku przez przyzwyczajenia do porządku, punktualności, uczciwości i prawdy w spełnianiu obowiązku, ale to jeszcze zamało. Ogromne znaczenie ma życie koleżeńskie, wywiera ono wpływ dodatni na kształcenie charakteru, wyrobienie instynktów społecznych i daje pierwsze pojęcie o życiu w społeczności; umiejętne korzystanie ze zorganizowanego życia koleżeńskiego może stać się potężnym środkiem dla wychowania obywatelskiego.

Ale chodzi o bezpośrednie działanie szkoły.

Tutaj zarysowuje się wyraźnie działalność trojaka: po pierwsze należy dostarczyć uczniom potrzebnych wiadomości. Wysuwa się tu zagadnienie, czy pouczenia tego rodzaju powinny stanowić odrębny przedmiot, czy też łączyć się z innymi przedmiotami. Zwolennicy tej drugiej ewentualności wskazują na historyę i geografię, jako na te przedmioty, które powinny dostarczyć wiadomości o ustroju państwa, o zagadnieniach społecznych, stanie gospodarczym, terenach pracy i t. d.

W tej myśli żądano doprowadzenia nauczania historyi do ostatnich czasów i szerszego uwzględnienia geografii politycznej w nauczaniu geografii.

Punkt wyjścia jest najzupełniej słuszny, oba te przedmioty powinny dostarczać tych wiadomości, powinny być traktowane w związku z życiem współczesnem, mieć na oku, że służą zagadnieniom życia, ale z natury rzeczy układu zajęć szkolnych nabyte w ten sposób wiadomości nie będą skoordynowane. Wogóle naszej organizacyi nauczania szkolnego brak ostatecznej koordynacyi

i trzeba dać uczniom możność sharmonizowania i ułożenia swych wiadomości. W tym celu byłoby niezmiernie pożyteczne przeznaczenie na wykształcenie obywatelskie odrębnych godzin i ujęcie zakresu tego wykształcenia dosyć szeroko. Powinno ono mianowicie objąć całokształt nauki o Polsce współczesnej. Możnaby cały szereg zagadnień traktować seminaryjnie przez pracę samodzielną uczniów, szczególniej te zagadnienia, które były omawiane przy innych przedmiotach. Ujęcie wykształcenia obywatelskiego jako odrębnego przedmiotu usunęłoby niebezpieczeństwo pominięcia niektórych nawet bardzo ważnych kwestyi, usystematyzowałoby wiadomości nabyte, dało możność głębszego zastanowienia się nad niemi i dostarczyłoby sposobności do samodzielnej pracy. Zarazem wprowadzałoby to jednolitość w ułożeniu materyału szkolnego, niejako w architekturze nauczania: wyjście od rzeczy swojskich, następnie szereg rozmaitych studyów i zakończenie i ujęcie całości przez zapoznanie się z Polską współczesną.

Niejednokrotnie poruszano niebezpieczeństwo wpływu partyjnego nauczycieli. Ta obawa jest jednak płonną. Pierwszym warunkiem pracy pedagogicznej musi być uczciwość nauczyciela wobec duszy ucznia. Nauczyciel nie tworzy człowieka w uczniu, a pomaga mu w tworzeniu siebie, to zasadnicze twierdzenie, które musi być uznane przez nauczyciela. Jeżeli tego nie będzie, to wpływ partyjny może istnieć zawsze, choćby przy nauczaniu przyrody czy matematyki, a tembardziej przy nauczaniu literatury i historyi, prawoznawstwo nie tworzy bardziej odpowiedniego terenu dla wpływów partyjnych od przedmiotów humanistycznych wogóle.

Naogół nawet usunięcie spraw chwili bieżącej ze szkoły i nieomawianie ich z uczniami jest błędem. Uczniowie są żywymi ludźmi i te sprawy powinny ich obchodzić, jakże inaczej mają się niemi nagle zainteresować po skończeniu szkoły. A stąd do polityki w szkole jeszcze bardzo daleko.

Jeżeli natomiast uczniowie nie znajdą zaspokojenia tego swego popędu w szkole, to będą szukali poza nią i tam znajdą z pewnością, ale wtedy rzeczywiście może grozić niebezpieczeństwo wpływów partyjnych.

Zadanie uczciwości nauczyciela wobec duszy ucznia nie jest identyczne z żądaniem bezbarwności politycznej.

Byłoby to niemożliwem i nawet niepotrzebnem, nauczyciel

musi być człowiekiem żywym, biorącym czynny udział w życiu. Maszyny nie mogą wychowywać ludzi, a żywy przykład nauczyciela ma olbrzymie znaczenie dla sprawy wychowania. Indywidualne zapatrywania nauczyciela muszą i powinny występować, ale nie może on narzucać ich uczniom ani przedstawiać jako bezwzględnie słuszne.

Przeciwnicy traktowania tego wykształcenia jako odrębnego przedmiotu podkreślają brak odpowiednich nauczycieli. Lecz chyba ten wzgląd nie może być brany pod uwagę, jeżeli rzecz sama jest bezwzględnie konieczna i nauczyciele uznają ją za taką — muszą odpowiednie przygotowanie zdobyć, innego wyjścia niema.

Co do drugiego punktu, dotyczącego oddziaływania na sferę uczucia, to zn. rozbudzenia patryotyzmu, poczucia obowiązku pracy społecznej i chęci do niej, to ta strona działania właściwie nie potrzebuje omówień. Każda dobra szkoła narodowa zaszczepi te uczucia w wychowańcach przez ducha panującego w szkole, uczucia narodowe nauczycieli i przez to, że przedmioty polskie będą stanowiły rdzeń nauczania, tak że uczniowie będą się rozwijali przez gruntowne zaznajamianie się ze swoją ojczyzną. Trzeba, by dusze dzieci zżyły się z polskim krajobrazem, umiały dojrzeć w nim piękno, znały i widziały piękno naszej roślinności, zdawały sobie sprawę z bogactw kraju, odczuwały piękno mowy polskiej, poezyi, umiały być dumne z naszych wielkich ludzi, odczuwały świetność naszej przeszłości, by były dumne z tego, że są Polakami.

Nie chcę bezwzględnej apoteozy ani dziejów, ani charakteru narodu naszego, owszem powinny być omówione nasze błędy i braki, należy wykazać, że nawet rzeczy wspaniałe zostały wypaczone i obróciły się na złe, ale chcę nie dopuścić do pesymizmu narodowego, a rozbudzić poczucie siły, poczucie, że musimy te błędy powetować i że je powetować możemy.

Trzeba jednak umieć zachować miarę; najfałszywszą drogą budzenia patryotyzmu jest mówienie o uczuciach narodowych. Słowo m o ż e być wielką potęgą, ale może być pustym dźwiękiem nie budzącym echa. Mówić dużo o uczuciach, to znaczy stępić wrażliwość odczuwania. Frazes patryotyczny jest bardzo niebezpieczny dla uczuć narodowych i mówieniem patryoty się nie wychowa.

Jedynym jednak wskaźnikiem w tym kierunku jest głębokość własnego odczuwania i sprawa taktu psychologicznego.

Wychowanie obywatelskie powinno się dostosowywać do odrębności szkoły i wychowańców, np. u dziewcząt strona uczuciowa jest silniejsza i tu rozbudzić nawet entuzyazm jest względnie łatwo. Nie można jednak na tem poprzestać, lecz należy doprowadzić do świadomości, że samo współczucie nie wystarcza, że trzeba wytrwałego i rozważnego działania, że praca społeczna wymaga kolektywnej roboty. Udział w pracy społecznej powinien być tak wymagany od dziewcząt, jak służba wojskowa od chłopców.

Taksamo strona teoretyczna wychowania obywatelskiego powinna być dostosowana do odrębności szkoły. W szkole ludowej powinna być traktowana okolicznościowo, w pogadankach, lecz według ułożonego planu, i materyał powinien być tak dobrany, by dotyczył odpowiedniego koła zainteresowań.

Byłoby więc to wychowanie jednostek myślących samodzielnie i gorąco narodowo czujących. Ludzie tacy będą chcieli pracować dla społeczeństwa, trzeba więc, by pracować umieli, t. zn., by stać ich było nie tylko na czyn wybuchowy, lecz i na stałą działalność. Chodzi zatem o wyrobienie charakteru, o wolę.

Bezwarunkowo, jak w każdej dziedzinie wychowania, taksamo i tutaj w sprawie wyrobienia charakteru potężnym jest wpływ rodziny, ale pomijając nawet, że nie zawsze wpływ ten bywa dodatni i niekiedy należy z nim walczyć, szkoła z natury swej organizacyi rozporządza ogromnymi środkami w tym kierunku. Powinna jednak nareszcie zejść z wyłącznie intelektualnego stanowiska i pamiętać, że jej zadaniem nie uczyć tylko, a wychowywać. Nauczanie jest środkiem w wychowaniu, nie celem samym w sobie, a nauczenie sprawą drugorzędną, choć będzie naturalnym wynikiem, jeżeli szkoła swoje zadanie spełni. Trzeba troszczyć się o to, by wychować ludzi, umiejących myśleć, czuć i działać, a nie o to, by posiadali oni koniecznie takie czy inne minimum wiedzy. Trzeba, by byli oni ludźmi do życia, zdrowymi, energicznymi, z inicyatywą pracy społecznej i pracy nad sobą, by umieli tę pracę organizować.

Drogą do tego wyrobienie w człowieku mocy wewnętrznej; trzeba być silnym, by żyć twórczo, zgodnie z nakreślonym ideałem życiowym. Siłę tę daje przedewszystkiem opanowanie siebie. Tutaj

może i powinna działać szkoła. Ma ona do rozporządzenia cały szereg środków, do nich przedewszystkiem należy ta tak osławiona karność szkolna, dawniejszy ideał, streszczający w sobie nieledwie wszelkie zadania szkoły, a potem cel gorących napaści, upatrujących w karności źródło wszystkiego złego. Karność szkolna jest pierwszym środkiem wyrobienia panowania nad sobą, przyzwyczajeniem do skupionej pracy. W tem tkwi jej ogromne znaczenie i czyni ją nieodłączną od sprawy wychowania.

Nie przemawiam bynajmniej za przywróceniem dawnej karności z groźbą przymusu. Przymus zewnętrzny nie jest dobrym wychowawcą i trzeba go zastąpić przez świadomy przymus wewnętrzny. Należy wezwać młodzież do współdziałania, wyjaśnić cel, uczynić akcyę świadomą i czynną od strony samej młodzieży. Wtedy rzeczy najdrobniejsze, pozornie błahe, nabiorą dla uczniów treści.

Będzie to zarazem budzeniem poczucia godności u dziecka i nie będzie tłumiło rozwoju indywidualności, czego się obawiali przeciwnicy, owszem stanie się podnietą w tym kierunku wobec czynnego charakteru pracy.

Jeżeli jednak karność szkolna ma być środkiem żywym i prowadzić rzeczywiście do celu musi w szkole panować polityka zaufania, nie strachu i cała akcya powinna opierać się na pogłębieniu etycznem i psychologicznem, bo bez tego karność szkolna doprowadzi do rozkwitu kłamstwa.

W dalszym ciągu drogą do wyrobienia charakteru jest wymaganie dokładności i systematyczności w każdej robocie, również ze wskazaniem celu i znaczenia tego dla rozwoju woli. W organizacyi szkolnej niema rzeczy błahych, jeżeli świadomi jesteśmy ich treści i młodzież powinna to rozumieć.

Wyrobienie panowania nad sobą i wytrwałości stanowi zasadniczą podstawę wychowania obywatelskiego. W tym kierunku idzie rozwój nowej szkoły pracy (Arbeitsschule) Kerschensteinera i szkoły czynu (Tatschule). Kerschensteiner widzi w zorganizowanej pracy ręcznej czynniki wpływające na rozwój społecznego życia w państwie, a mianowicie mamy tu: 1) wspólność pracy ze wszelkiemi zjawiskami jej podziału; 2) sposób udziału jednostki w planie gospodarczym; 3) opanowanie jednostki i upodrzędnienie jej autorytetowi społeczności. Wprowadzenie pracy ręcznej w szkole ma ogromne znaczenie wychowawcze. Mamy tu rzeczywiście obraz

pracy społecznej z ograniczeniem egoizmu i wybujałości jednostki, z organizacyą całości i z panowaniem ogólnego celu nad wolą jednostek. Lecz zwolennicy nowego kierunku szkoły pracy, czy szkoły czynu nie poprzestają na tem, a pojmują szkołę jako jednostkę organizacyjną, jako społeczność, wiążą ją z życiem, i wprowadzając w ten sposób pierwiastek życia społecznego, czynią z niej doskonały teren dla wychowania obywatelskiego.

W życiu społeczności szkolnej uczy się dziecko, że jego czynności ulegają ograniczeniom nie tylko ze strony praw przyrody, lecz także ze strony autorytetu i woli społeczności, i w miarę zwiększającego się przenikania życia społecznego do życia jednostki, uświadamia sobie coraz jaśniej, że jest częścią całości. Dziecko w społeczności rodzinnej, koleżeńskiej i szkolnej znajduje zaspokojenie swych społecznych instynktów i dochodzi do pojęcia woli ogółu, woli moralnej. Porównuje ono wtedy swą pierwotną wolę jednostki z wtórną wolą ogółu, ocenia i normuje pierwszą na podstawie drugiej i uczy się podporządkowywać swe popędy woli, kierowanej przez rozum i rozsądek.

Wykształcenie obywatelskie bez wyrobienia wytrwałości i wychowania moralnego stanie się tylko balastem książkowym, nowym przedmiotem szkolnym.

Wychowawca może kierować wolą wychowańca przez usunięcie motywów działania w niepożądanym kierunku, wysuwanie motywów przeciwnych, zachętę itp., zawsze jednak ma do zwalczania popędy pierwotne. Jeżeli zatem chodzi o utrwalenie działania w danym kierunku, to trzeba wytworzyć motoryczną siłę popędów wtórnych, czyli przyzwyczajenie. Przez częste powtarzanie jakiejś czynności dochodzi się do tego, że reakcya powtarza się regularnie o pewnym czasie i w danem miejscu. Przyzwyczajenie ma ogromne znaczenie wychowawcze: to, co dla dorosłych nie przedstawia żadnych trudności, dla dzieci wymaga jeszcze walki wewnętrznej i dopiero przez częste powtarzanie danej czynności dochodzą one do spełniania jej bez wewnętrznego oporu. To właśnie powinno być spożytkowane w celu wychowania obywatelskiego, by wyrobić przyzwyczajenie do wypełniania obowiązków społecznych w zakresie życia koleżeńskiego i szkolnego.

Trzecim rodzajem środków, jakimi może rozporządzać szkoła dla wychowania obywatelskiego są gry ruchowe. Istotą ich jest walka, współzawodnictwo, co przecież stanowi dominującą siłę

w społeczcństwie. Uczestnicy gry tworzą jakby społeczeństwo, karne i oparte na zasadzie równouprawnienia. Pierwszym warunkiem gry jest uznanie dobrowolnie przyjętych praw lub zmiana ich za zgodą ogółu. W zakresie tych praw każda jednostka ma swobodę działania, ale poza nie wyjść nie może. To przecież obraz życia społecznego. Dla osiągnięcia celu gry trzeba współdziałania wszystkich, podziału pracy, upodrzędnienia swych zamiłowań i przyjemności dobru ogółu. Często musi się jednostka wyrzec samodzielnego ruchu na rzecz towarzysza dla dobra partyi. Uczy to skoordynowanej czynności i ograniczania swej woli. Praca musi dzielić się według uzdolnienia jednostek, co wyrabia krytycyzm w ocenianiu wartości osób, poskramia zarozumiałość, wykazując ich rzeczywistą wartość i uzmysławia konieczność podziału pracy. Wreszcie gry ruchowe wyrabiają posłuszeństwo dla wybranych kierowników i w ten sposób prowadzą do zrozumienia karności i ładu społecznego. To wszystko czyni z nich szkołę życia społecznego, a wobec ich ogromnego znaczenia zdrowotnego wprowadzenie ich do szkół jest rzeczą niezmiernej wagi.

Tąkąż rolę wychowawczą spełniają zorganizowane wycieczki, pomijając tu ich wartość naukową i hygieniczną. Występuje tu również potrzeba karności, podporządkowanie jednostek wybranym kierownikom, spełnianie pracy na rzecz ogółu, zrzekanie się osobistych zachceń, specyalizacya pracy, odwaga, przytomność umysłu, szybkość decyzyi i t. d.

Wreszcie czwartym rodzajem środkiem, jakimi szkoła może przyzwyczajać do działalności społecznej, są związki i organizacye szkolne.

Należy też odpowiednio wyzyskać instynkty społeczne młodzieży. Ma ona tendencyę do organizowania się i jeżeli szkoła nie pokieruje tym popędem, to będą powstawały organizacye tajne, do których, jako do tworów samodzielnych, młodzież będzie żywiła przywiązanie i wtedy dusze uczniów mogą się wysunąć z pod wpływów szkoły.

W każdej szkole znajdują się natury silniejsze, które łatwo opanowują ogół. Wpływ ich bywa nawet często ujemny i zadaniem szkoły jest skierować ich siły na dobre tory. Poczucie sprawiedliwości, wytworzenie opinii publicznej i poczucie samodzielności czynów są potężną bronią w walce ze słabością charakterów

i brakiem wytrwałości. Tak więc tu zespala się znowu wychowanie obywatelskie z moralnem.

Związki szkolne mają zapoznawać uczniów z organizacyą społeczną bezpośrednio i przyzwyczajać do samodzielnego spełniania płynących stąd obowiązków. Związki mogą być najrozmaitsze: samopomoc koleżeńska, sklepy szkolne, kółka samodzielnej pracy nad ulubionym przedmiotem, towarzystwa bibliotek, filantropijne, kółka turystyczne, sportowe i wreszcie najwyższy typ, dający najwięcej sposobności do wyrobienia charakteru i przyzwyczajeń obywatelskich — samorząd szkolny.

Samorząd zamienia szkołę w małą gminę demokratyczną, ustanawiającą samodzielnie prawa dla siebie i wybierającą urzędników dla wykonywania rozmaitych funkcyi. W ten sposób zapoznają się uczniowie praktycznie z formami parlamentarnemi. System ten został wprowadzony w Ameryce i znalazł tam szerokie zastosowanie. Ma on olbrzymie znaczenie dla kształcenia charakteru i zmysłu organizatorskiego. Uczniowie uczą się tu dobrowolnie posłuszeństwa, przez rozkazywanie samym sobie. Twórca tej metody Mr. Wilson Gilt widzi w samorządzie najlepszy środek zwalczania obojętności politycznej, a szerzenia uczciwości. Samorząd czyni posłuszeństwo dobrowolnem, budzi poszanowanie prawa, wdraża do spełniania obowiązku i rozwija poczucie odpowiedzialności jednostki za dobro ogółu. To właśnie stanowi najważniejszy czynnik w wychowaniu obywatelskiem. Samorząd szkolny jest praktyczną szkołą obywatelską, przyzwyczaja do działalności społecznej, unaocznia wielkie znaczenie pozornie drobnych czynności dla rozwoju całości i daje pole do rzeczywiście samodzielnego działania.

Wszelkie inne związki szkolne są w zasadzie swej podobne, lecz jako posiadające znacznie szczuplejszy zakres działania i zwykle bardzo jednostronny, ustępują samorządowi w znaczeniu wyrobienia obywatelskiego.

Wprowadzenie samorządu dało powszechnie bardzo dobre wyniki, i dla zadań wychowania obywatelskiego jest on niezastąpiony. Tembardziej ważnem jest wprowadzenie go do seminaryów nauczycielskich, które muszą przygotowywać swych wychowańców bezpośrednio do życia. Mają oni iść w świat jako wychowawcy młodych pokoleń, a najczęściej organizatorzy życia społecznego w danej miejscowości. Dla nich to przyzwyczajenie do samodziel-

ności, do organizatorskiej pracy, wyrobienie społeczne i wyrobienie poczucia odpowiedzialności za swe czyny są sprawami pierwszorzędnej wagi, które mogą decydować o owocności pracy ich życia.

Pamiętać jednak trzeba, że skuteczność najlepszych metod i programów zależy przedewszystkiem od stosujących ich ludzi. Dlatego też i wychowanie obywatelskie zależy od ogółu nauczycielstwa danej szkoły. Na nic nie zdadzą się pouczenia, wykłady i maksymy, jeżeli nie będzie żywego oddziaływania nauczycieli. Oni winni życiem swem dawać przykład i hartu woli i pracy nad sobą, sumienności obowiązku, energii, inicyatywy i organizacyi pracy i całego czynnego i twórczego życia.

J. Jastrzębska.

Podbój czy unia [1]).

Czasy Kłuszyna — to czasy pełne niezmiernej powagi i znaczenia dziejowego, to moment, w którym Polsce zaświtała sposobność do przeobrażenia się w mocarstwo światowe o rozmiarach niebywałych. Zdaje się, że i współcześni mieli poczucie tej powagi chwili. Jeden z polskich rycerzy przestrzegał doradców królewskich w roku 1609: „O wielkie rzeczy idzie... Wszystek świat na WMciów teraz patrzy, patrzy Kościół Boży. Jako *incredibiles fructus* są szczęśliwie skończonej tej expedycyi, tak *incredibilia*, kiedyby, Boże zawaruj, za naszą przyczyną do konfuzyi jakiej przyszło... Macie WMć dziwnie wielkie rzeczy przed sobą, sławę ojczyzny swojej wysoko sublimować, granice koronne nieporównanie prawie rozpostrzeć, narodu polskiego *nomen perhenne* u wszystkich narodów na wszystkie kąty świata po wszystkie potomne wieki zostawić, potęgę Rzptej straszną każdemu nieprzyjacielowi uczynić...“ [2])

Czuli sami Polacy, że była to chwila sposobna do działań imperyalistycznych, do tworzenia mocarstwa uniwersalnego. W tym momencie dziejowym miało się rozstrzygnąć, czy takiem mocarstwem zostanie po uporaniu się z Moskwą — Polska, czy też nie załatwiwszy tej sprawy, będzie czekać, aż tę rolę obejmie Rosya, która wywróciwszy Polskę stanie się największem państwem w Słowiańszczyźnie.

Dziejami tej tak poważnej chwili i wyprawą smoleńską 1609/11

---

[1]) Urywki z pracy p. t.: „Czasy Kłuszyna“.

[2]) Ms. Bibl. Raczyń. Nr. 33. f. 74. b.

zajmowali się oddawna historycy. Ujawniły się przytem różnice w osądzaniu celów i rezultatów tej wyprawy.

Jedni chwalili program Zygmunta III, drudzy program Żółkiewskiego, jedni chwalili hetmana za Kłuszyn i Kreml, drudzy króla za Smoleńsk.

W ostatnich czasach pod wpływem prac Darowskiego [1]) i Kozłowskiego [2]) sąd historyków przechylił się stanowczo na stronę Zygmunta III, aż dopiero przed paru laty (r. 1911) Prochaska [3]) znów stanął poniekąd w obronie hetmana.

Aby różnicę między królem a hetmanem ująć najlepiej, historycy zestawiali przedewszystkiem tekst układu, jaki zawarł Zygmunt III z bojarami moskiewskimi pod Smoleńskiem 14 lutego 1610, z tekstem tego układu, jaki w pół roku później (27 sierpnia 1610) zawarł Żółkiewski w czasie elekcyi królewicza Władysława pod samą stolicą, Moskwą.

Poniżej mam zamiar zwrócić uwagę czytelnika na jedną drobną chwilę — na chwilę powrotu hetmana — (po dokonaniu układu i elekcyi królewicza Władysława w Moskwie) i jego wyjazdu z obozu królewskiego.

Jak król przyjął hetmana? Kiedy Żółkiewski wyjeżdżał (z Moskwy 30 października 1610 r.) „przedniejsi bojarowie prowadzili za milę pana hetmana dobrą, a póki przez miasto jechał, mir, czerń wszystka po ulicach zabiegała mu drogę, żegnając i błogosławiąc“ [4]). Hetman zostawił na Kremlu zastępcę Gąsiewskiego i zabrawszy z sobą Szujskich, sam spieszył pod Smoleńsk. Wiedział dobrze, że tam pod Smoleńskiem rozstrzyga się wszystko, że tam tkwi węzeł sprawy, bo tam toczyły się teraz rokowania z posłami bojarów o królewicza i o przyszły stosunek obu państw i narodów. Przeczuwał, że teraz mogą nastąpić niezmierne „zawikłania między Polską a Moskwą“ [5]). Dawał się słyszeć w Moskwie pomruk niezadowolenia z powodu zbyt ostrego postępowania z posłami i bojarami pod Smoleńskiem, jechał więc królowi przedsta-

---

[1]) Darowski, Szkice historyczne, 1895, t. II.

[2]) Kozłowski, Przegląd powszech. 1889. III.

[3]) Hetmana Żółkiewskiego traktat pod Moskwą 1610. Przegląd historyczny 1911.

[4]) Bielowski, Progres 95, Hirschberg Maryna, 243.

[5]) Kobierzycki 348-9.

wić, że jeśli będzie się upierać przy myśli zagarnięcia tronu dla siebie, to w Moskwie wybuchnie rewolucya. Rozumiał dobrze, że stronnictwo polskie opiera się na bojarach, którzy spodziewali się, że cieszyć się będą taką złotą [1]) wolnością jak szlachta i senatorowie w Polsce, jeśli jednak zamiast elekcyi i wolności ma nastąpić jak dawniej „samodzierżawie“ i to na niekorzyść nawet prawosławia i narodowej moskiewskiej samodzielności, to stronnictwo to grunt straci i wszystko w łeb weźmie.

Samo przywitanie hetmana przez obóz królewski odbyło się dla hetmana „honorificentissime“ [2]), toż miłe było oficyalne przyjęcie przez króla.

Ale jak się odbyło prywatne przyjęcie? Wedle pamiętnika hetmana, Żółkiewski usprawiedliwiał na niem przed królem swój układ moskiewski, tłómaczył się czemu go zaprzysiągł, dowodził, że z „inklinacyą narodu tego musiał się zgadzać“, że inaczej wybraliby Moskale kogo innego carem, nalegał na króla, aby dał królewicza, apelował do dynastycznych nawet uczuć króla, dowodząc, że łatwiej pójdzie po śmierci ojca elekcya Władysława na króla, jeśli już będzie carem, że zresztą i Szwecyę łatwiej król odzyska przy pomocy Władysława-cara. Inaczej powlecze się długo wojna z Moskwą.

I tu przeciw programowi zupełnego podboju Moskwy wskazał na tradycyjny program unii i kompromisu, powtarzając prawie słowo w słowo, co już dawniej wskazał w liście do Lwa Sapiehy, powołując się na analogię unii z Litwą i stopniowem jej się doskonaleniu.

„Lecz zawarte były uszy Króla JMci pana hetmanowym perswazyom“ [3]).

Jeżeli chodzi o różnicę zdania między królem a hetmanem co do najbliższych zadań praktycznych, to wyrażała się w tem, że podczas gdy król uparcie chciał zaraz teraz wyprawiać się do Moskwy i na Kremlu koronować, to tymczasem hetman temu się stanowczo sprzeciwiał i nakłaniał natomiast króla, aby co rychlej udał się na sejm do Warszawy wraz z posłami moskiewskimi, a stamtąd, uzyskawszy zgodę stanów, wysłał królewicza do Moskwy, dodawszy

---

[1]) Zob. „złote lata“ Ms. Racz. l. c. 165.

[2]) 8 XI. Russ. Istoricz. Bibl. I 689, Kobierzycki 354.

[3]) Bielowski, Progres 106.

mu do boku senatorów (może i jego, hetmana); ten sejm zdecyduje co do spornych warunków układu moskiewskiego, a szczególnie co do Smoleńska i Siewierza.

Z wszystkiego widać, że hetman apelował od króla do sejmu. O sejmie myślał już oddawna, już w czasie zawierania układu moskiewskiego, sejmu „prędko“ się spodziewał [1]), sądząc, że tam ostatecznie będzie można ułożyć się z posłami moskiewskimi „o dawnych kontrowerzyach“ (o Smoleńsku i Siewierskiej ziemi); sejm ten w jego myśli urastał do znaczenia sejmu unii lubelskiej. Sejmu takiego i zatwierdzenia na nim układu domagała się też i partya bojarów moskiewskich i takie żądanie postawiła Żółkiewskiemu na wyjezdnem [2]).

Żółkiewski będąc demokratą ze szkoły Zamojskiego, uważał sejm zawsze za najwyższą instancyę Rzptej, ten sejm stanie w jego obronie — przeciw królowi.

Królowi wszystko co mu hetman radził, wydało się niemiłe. Szczególnie jedna okoliczność podkopywała rady hetmana w oczach króla i budziła w nim podejrzliwość. Oto podczas gdy Żółkiewski proponował, aby król wracał na sejm, a jemu — hetmanowi zdał kierunek spraw moskiewskich, a na dowód napomykał o niechęci Moskali do ofiarowania tronu samemu królowi, — to wbrew temu z samej Moskwy przychodziły sprzeczne z tem wiadomości. W stolicy bowiem znalazła się drobna garstka bojarów, których sobie Zygmunt III ujął teraz nadaniem znacznych dóbr i urzędów i ta podchlebiając królowi wzywała go, aby coprędzej na tron do Moskwy pospieszał i zaraz się koronował, a wszystko to bez żadnej wzmianki o królewiczu.

Hetman wiedział, że ta grupka bojarów, to drobna garstka, że ona się na długo nie utrzyma, że wielu z nich mami króla, ale król opierać na niej wolał swe nadzieje i rwał się sam ku Moskwie.

Hetman upierał się przy swojem, król przy swojem. Zdaje się, że hetman już z góry przyjeżdżając pod Smoleńsk spodziewał się starcia z królem. Z góry zresztą był pewnie nieco urażony wskutek ostrego tonu poprzednich listów królewskich. Znamienną jest rzeczą, że ledwo pod Smoleńsk przybył, zaraz następnego

---

[1]) Bielowski 75.

[2]) Bielowski 94-95.

dnia napisał Lew Sapieha do żony, że Żółkiewski nie myśli wracać do Moskwy, ale „bierze się do domu stąd prosto".

Dlaczego nie chciał wracać do Moskwy? Może dlatego, aby z rozkazu króla nie musiał łamać tego układu, który poprzysiągł? Może hetman tak rozgadywał z góry, aby wpłynąć na króla łatwiej i zmusić do ustępstw?

Wbrew temu król myślał hetmana zmusić do uległości. Aby skruszyć hetmana, zaczął dwór napomykać o nagrodach, jakie teraz za zasługi zaofiaruje się Żółkiewskiemu. Że mu się w istocie należały jakieś rekompensaty, jeśli nie za sam trud, to za koszta, jakie sam wyłożył, sypiąc podarunkami dla zjednania bojarów moskiewskich tak, że wydał wszystko, co miał [1]) — to było oczywiste.

W jakiej jednak postaci i w jakiej mierze wystąpi „nagroda" za to wszystko, to już zależało wyłącznie od woli króla.

Coraz też głośniej zaczęto mówić, że król da hetmanowi Kamionkę na wieczność, a starostwo międzyrzeckie w dzierżawę, wreszcie wielką buławę i że jeśli to hetman dostanie, to nie pojedzie do domu, ale wróci do Moskwy [2]).

O Międzyrzecz po śmierci hetmanowej koronnej Barbary Zamojskiej starał się Żółkiewski już w maju i przypuszczano, że dostanie, choć o nie zabiegali właśnie także i jego rywale Jakób i Stefan — Potoccy [3]). A może nietylko Międzyrzecz po Zamojskim, ale i buława wielka koronna spadnie na Żółkiewskiego —

---

[1]) Hirschberg, Maryna 228.

[2]) Ms. Bibl. Czartor. 342, str. 797. Z obozu pod Smoleńskiem 20 XI 1610 *avvisi* (ktoś z sekretarzy królew. pisze tak):

„Spodziewamy się prędko z WM. widzieć wszyscy (tj. jechać do Wilna), jeśli nie na Boże Narodzenie, tedy zaraz po niem. P. Hetman *omnino sic stantibus his rebus* nie radzi Królowi JMci do Moskwy, a *urget,* aby jego przysiędze dość uczynił, na co się zbraniamy (król i kancelarya), a mianowicie królewica dać *exnunc.* Sam Pan Hetman myśli ku domowi, jednak dadzą-li mu Kamionkę wiecznością, buławę wielką i Międzyrzecz, da się namówić wrócić się do stolice (do Moskwy), a nam na sejm jechać każą, któremu tuszą aż o Wielkiej Nocy".

Powtarza tę wiadomość Hieronim Chodkiewicz do synowca Karola 29 X (XI ?) 1610, Chomętowski, koresp. Chodkiew. (Bibl. Krasiń. I, str. 110).

[3]) Ms. Bibl. Czartor. 1630, str. 1119. Sam. Targowski do Rudnickiego, bisk. warm. pod Smoleńskiem 12 V 1610: „Kto będzie miał, nie wiedzieć". Jakób Zadzik (późniejszy kanclerz) do tegoż Rudnickiego 24 VII 1610 pod Smoleńskiem, Ms. Bibl. Czartor. 342, str. 767 „Międzyrzecza też nie dano, rozumiemy jednak, że nim Król JMci P. Hetmana nie minie".

wszak to — po Kłuszynie! Co prawda tak ten Międzyrzecz, jak i tę buławę myślał dostać Potocki na drodze szturmów na Smoleńsk! Dotąd rzecz była nierozstrzygnięta i nikt nie wiedział, czy tryumfator z pod Kłuszyna dostanie to hetmaństwo, które sam nazwie kiedyś „skarbem nieoszacowanym“ [1]).

Tymczasem na buławę koronną wielką długo jeszcze czekać będzie hetman polny. Zygmunt III zbyt się przestraszył i nakłopotał takim olbrzymem jakim był nieboszczyk Zamojski, aby miał się spieszyć z wskrzeszeniem drugiego olbrzyma. Wszak już fama głosiła, że Moskwa chciała tego hetmana — mieć carem! Zresztą jakżeby król mógł tym krokiem urazić sobie Potockich, których wszak potrzebował, a nawet przekładał nad hetmana! W ten sposób aż do roku też 1618 buława wielka koronna będzie leżała osierocona, nietknięta przez nikogo, dopiero w dwa lata przed Cecorą dostał ją starzec — Żółkiewski. Wszystkie okoliczności wskazują jednak na to, że już w tej chwili wszystkie te nagrody spadłyby na hetmana, gdyby był więcej królowi uległy, gdyby dawszy się olśnić ich blaskiem, nie upierał się przy swem zdaniu.

Jak zobaczymy bowiem, hetman pomimo sowitych obietnic ani na krok nie odstąpi od swego ideowego programu i nie da się skusić — nawet widokiem wielkiej buławy.

Hetman przeciwny szturmom. Wielu senatorów oddawna w obozie pod Smoleńskiem pożądało przybycia hetmana, bo spodziewało [2]) się ogólnie, że on, który „i ludzkością i cnotą zjednał sobie wielką opinię“ [3]) u bojarów, zdoła teraz wpłynąć na posłów moskiewskich, ułagodzi ich, doprowadzi do ostatecznego zawarcia układu.

Jakkolwiek też hetman głosił, że zamierza jechać do domu a nie do Moskwy, to jednak postanowił tu pod Smoleńskiem jeszcze popracować nad definitywnem ukończeniem układu, który dopiero prowizorycznie niejako nawiązał pod Moskwą. Tu dopiero

---

[1]) Bielowski 398, por. 348 „nie dla jakiej ambicyi“.

[2]) Teki rzymskie 56, Simonetta z Wilna 16 XI 1610.

[3]) Ms. Bibl. Czart. 342, str. 797. *Avvisi* z obozu: „Przyjazd ten J. M. P. Hetmana więc i prywatne jego z posłami moskiewskimi (układy)... czynią nam dobrą nadzieję pociesznego końca“.

pod Smoleńskiem trzeba było rzecz wykończyć. W istocie też hetman nie szczędził w tym kierunku trudów.

Najpierw zabrał się do posłów moskiewskich, którzy dotąd twardo upierali się przy wielu artykułach. Ich to starał się zjednać teraz hetman wszystkimi sposobami i urządzał na ich cześć bankiety. „...JM. P. Hetman miał tych posłów moskiewskich u siebie na czci i privatim z nimi traktował, nie postanowił jednak nic z nimi takiego, to tylko mówili rozjeżdżając się i całując go: „Co Boh hocze i ty, budzie wsio“ [1]).

Przedewszystkiem liczono na hetmana, że ten skłoni tak posłów, jak i samych Smoleńszczan do kapitulacyi Smoleńska.

Posłowie moskiewscy a osobliwie Golicyn, obstawali przy tem, aby Smoleńsk (tak jak i Moskwa) przysiągł wyłącznie tylko królewiczowi, podczas gdy król chciał, aby także i jemu, w przeciwnym razie woli wziąść tę twierdzę szturmem [2]). Hetman w gruncie rzeczy miał zdanie inne, aniżeli król, i (w myśl punktu układu moskiewskiego, wedle którego miał prosić króla, aby uwolnił Smoleńsk od oblężenia) hetman w istocie żądał nawet początkowo, aby król od Smoleńska odstąpił, a Smoleńsk przysiągł królewiczowi [3]).

Nie myślał hetman wcale przypuszczać szturmu do Smoleńska, chciał Smoleńską sprawę załatwić na drodze układów. Sądził, że teraz o szturmie może decydować tylko on, bo on w tej chwili czuł się znów najwyższym po królu wodzem pod Smoleńskiem, czuł się hetmanem i był zdania, że on tylko może decydować o szturmie.

Na tem tle drażliwem, na tle jakby rywalizacyi o buławę rozegrał się teraz spór z Potockimi, którzy w czasie jego nieobecności przywykli do naczelnego kierownictwa wojskowego, tak że nawet pana Potockiego czasem już tytułowano [4]) hetmanem. Lew

---

[1]) L. c.

[2]) Teki rzymskie 56, Simonetta 23 XI 1610 (wedle listu z obozu 13 XI).

[3]) W ziemi bełzkiej podkomorzy bełzki pisze w 2 XII 1610 na podstawie niezbyt zresztą pewnych relacyi: „Pan hetman radzi królowi, żeby przyjął poddanie się Smoleńska na imię królewicza, a Siewierska ziemia, żeby wróciła do Korony“. Ms. Bibl. Jagiell. 3596 II, 136.

[4]) Muchanow, Rukopis 267 (15 XI), Kobierzycki 401—402. Zresztą Dorohostajskiego zwano też hetmanem chorągwi królewskiej (Russ. Istor. Bibl. I 429).

Sapieha pisze tak o tem do żony: „Szturmem jeszcze [1]) chcą kusić do Smoleńska, panowie Potoccy tak radzą i **rządzą,** a pan hetman protestuje się, że na to nie radzi i **hetmaństwo zdaje**. Ja pogotowiu już milczę, gotowego patrzę".

Dlaczego hetman odradzał szturmu? Wedle Simonetty [2]) tłomaczył, że za mało żołnierza, że trzeba jeszcze popróbować układów z posłami moskiewskimi i nakłonić ich do ustąpienia Smoleńska.

Czy tu nie odgrywał roli jeszcze jeden wzgląd? Czy hetman sam człowiek twardych zasad, nie czuł się skrępowanym przysięgą moskiewską, może przeczuwał, że jak tylko na nowo zacznie się lać tu krew, to jego program runie, a weźmie górę program Potockich, program podboju?

Niedługo potem pisze znów Lew Sapieha tak do żony [3]):

„Dziś szturm miał być, ale nie był, żołnierze nie chcieli iść do szturmu i tak się rozchwiało [4]). Jutro ma być poranu, Boże daj szczęście, ale p. **hetman nie radzi i protestuje się, że on nie chce wiedzieć,** panowie Potoccy tuszą dobrze a my P. Boga prosim, żeby było dobrze, ale wierę za ich (Potockich) radą trudno się dobrego końca spodziewać".

Nareszcie 1 grudnia nastąpiło to, czego się hetman najwięcej obawiał, czego najwięcej odradzał — szturm na Smoleńsk. Górę wzięły u króla głosy przeciwne Żółkiewskiemu, nie zdołał układami oczarować Smoleńska i oręż wystąpił znowu na widownię.

Ale szturm się nie udał. Położenie zdawało się bez wyjścia. Sami senatorowie, jak Lew Sapieha, zaczęli narzekać na „upór króla". Był zupełny brak kul, prochu, pieniędzy, żołnierzowi żołdu niewypłacano oblężenie przeciągało się w nieskończoność.

Niepowodzenia królewskie. Dnia 28 [5]) grudnia 1610 przybyła do obozu pod Smoleńskiem wieść, że Samozwaniec II padł

[1]) 27 XI. Prochaska (Kwartal. litew. 1911 str. 61) mylnie umieścił ten list pod rokiem 1609. Słowo „jeszcze" wskazuje, że już oddawna szturmowano. Tego słowa używa też Lew Sapieha w liście do żony z 30 XI 1610.

[2]) Teki rzymskie 56. 23 XI i 30 XI 1610.

[3]) 30 XI 1610. Ms. Bibl. Zamoy. 944 f. 114. Prochaska 75.

[4]) Z powodu targów o żołd. Russ. Istor. Bibl. I 199.

[5]) Russ. Istoricz. Bibl. I 708.

zamordowany z ręki Tatarów. Wypadek ten wpłynął na to, że różne grody, które dotąd uznawały Samozwańca, zaczęły gromadnie składać przysięgę carowi Władysławowi [1]), tak że obszar ziem uznających go przybrał bardzo na rozmiarach [2]). „Wdowa“ po obu Samozwańcach, Maryna Mniszchówna widząc, że gaśnie jej gwiazda, a ponad wszystkich bierze górę Władysław, chwyciła się jako ostatniej deski ratunku — prawosławia, a dostrzegłszy najsłabszą stronę kandydatury Władysława w kwestyi jego katolicyzmu, — swego nowonarodzonego syna „przyłudzając się Moskwie“, oddała Kałużanom, aby go na wiarę swą ochrzcili i po swojemu wychowali [3]).

Nie wiele to jej pomogło. Car Władysław coraz miał więcej zwolenników. Właściwie nie miał rywala, Szujscy byli jeńcami, Samozwańce poznikali, został jeden jednak najgroźniejszy rywal — jego własny ojciec — król.

Dla tego ostatniego śmierć Samozwańca była w istocie jednak klęską. Przez śmierć Samozwańca zyskał tylko królewicz, ale wcale nie król. Teraz w rzeczy samej następywało „uspokojenie“ państwa moskiewskiego, a więc według układu smoleńskiego i moskiewskiego, powinno się teraz było oddać królewicza Moskwie. Już nie miał Zygmunt III ani pozoru do przewlekania w tym względzie, ani właściwie do marszu na Moskwę. Już nie wystarczały teraz obiecanki [4]). Wedle układu moskiewskiego [5]) wojsko polskie powinno było teraz po upadku Samozwańca ustąpić z Moskwy. Bojarzy teraz już nie potrzebowali się bać rewolucyi społecznej, na której czele stał Samozwaniec, nie potrzebowali obrony wojsk polskich.

Wypadek ten był do tego stopnia korzystniejszy dla programu hetmana aniżeli dla królewskiego, że pod Smoleńskiem rozpuszczono nawet podejrzenie, jakoby zabójca Samozwańca dokonał tego z namowy Żółkiewskiego (z czego się tenże usprawiedliwia w Pamiętniku [6]).

---

[1]) Hirschberg, Polska a Moskwa 1901, 296

[2]) Bielowski 83.

[3]) Hirschberg, Maryna 258, Bielowski 110. Simonetta 19 II 1611, (Pierling III 381).

[4]) Taką obietnicę wysyła Zygmunt III jeszcze w styczniu 1611 do bojarów, godząc się na oddanie im królewicza, Darowski II 153.

[5]) Por. Bielowski 504.

[6]) Bielowski 110.

Kiedy jednak wskutek tych wypadków stawało się coraz oczywistszą rzeczą, że Zygmunt III łamie układ moskiewski i wyciąga ręce po carską koronę nie dla syna lecz dla siebie, więc od tej też chwili śród ludności moskiewskiej coraz bardziej zaczyna podnosić głowę ruch narodowy przeciw królowi — a za królewiczem — carem. Na czele rewolucyi staje Prokop Łapunow, który rozgłaszał, że „wedle przysięgi swej królewicza radzi chcą za pana mieć, lecz króla JMci żadną miarą“ [1]). Rewolucya coraz się szerzyła, posłowie moskiewscy pod Smoleńskiem postępywali coraz bardziej dwuznacznie [2]), w Moskwie zaś położenie zaczynało być coraz groźniejsze, a załoga polska na Kremlu w coraz większem niebezpieczeństwie.

Co robić? Ktoś odświeżył myśl [3]), aby sam król wyruszył z wyprawą na Moskwę i z bronią w ręku zdusił bunt. Jeśli buntują się przeciw łaskawemu panowaniu króla, to niech król zdobędzie „*armis ius sibi... non vero filio Principi*“. Podobała się ta rada królowi. Już przebąkiwano, którymi drogami i z jakimi oddziałami król ruszy, ale nakoniec jednak „*rex cunctator*“ zdecydował się [4]) leżeć dalej pod Smoleńskiem, bojąc się, że straci sławę przez porzucenie niezdobytej twierdzy.

Znów więc oczy wszystkich zwróciły się w obozie królewskim na hetmana Żółkiewskiego. On jeden zdolen wszystko jeszcze naprawić, on wróci do Moskwy i bojarów i lud uspokoi. Zabrano się do zjednania go do tej myśli dość zręcznie.

Oto na tajnej radzie senatorów [5]) Jan Potocki ku zdumieniu wszystkich wypowiedział szumną pochwałę na cześć tryumfów hetmana, wskazując przy oklasku wszystkich, że Żółkiewski jedyny może uśmierzyć bunt moskiewski, on jeden cieszy się wielkiem poważaniem w Moskwie, niech więc tam podąży z silną armią... Dużo kosztować musiała ta mowa Potockiego, który sam już

---

[1]) Bielowski 112. Toż Simonetta 7 II i 17 IV 1611.

[2]) Posłami tymi teraz zajmował się już nie tak Żółkiewski, jak Lew Sapieha. O nich tenże pisał do żony 25 I (Prochaska l.c.) „ja nie ufam i ostrożnie z nimi postępuję“, a do Radziwiłła Sierotki: „Dobrze to WMć upatrować raczysz, że naród moskiewski pełen jest niecnót, pełen zdrady i niemasz komu dufać. Bo jeżeli gdzie, tu prawie w tych krajach *fraus et dolus sedem fixerunt*, aleć tak się *saeculum* zepsowało, że *nulla provincia expers est mali huius*“.

[3]) Kobierzycki 385—6.

[4]) Niemcewicz III 2, przypuszcza, że pod wpływem listów królowej.

[5]) Kobierzycki 389—393.

schorzały, czując się blisko grobu (niedługo [1]) umrze), czując, że już sam nie zażegna burz, które się gromadziły dookoła, musiał wypowiedzieć taki hymn pochwalny na cześć rywala.

Obok tego do obrabiania Żółkiewskiego zabrał się podkomorzy królewski Bobola na konferencyach z nim w cztery oczy, a ponieważ wszyscy wiedzieli, że ten jest prawą ręką króla, więc zrozumiano to, że sam „król JMć życzyłby był tego“ [2]). Hetman w odpowiedzi nie przeczył, że król ma prawo rozkazywać a jego obowiązkiem jest słuchać, tem niemniej wyraził przekonanie, że jego pochód ku Moskwie na nic się nie zda, jeśli przyjedzie — bez królewicza. On uroczyście przysiągł, że da się królewicza, — jeśli przybędzie bez niego, to cóż odpowie na zarzut krzywoprzysięstwa. Złamać tego buntu czczymi słowami nie można, a orężem nie sposób, bo załoga polska na Kremlu domaga się żołdu, a tego żołdu jej nie przywiezie [3]). Z wyprawy takiej nie będzie żadnego owocu, a on tylko odniósłby niesławę. Król okazał mu niewdzięczność, jego rady odrzuca i lekceważy, a skutkiem tego wybuchła rewolucya moskiewska, którą przepowiadał. Zresztą ma już zdrowie „pracami i niewczasy osłabione, zwątlone“...

Hetman czuł, że niepodobna mu wracać do Moskwy, bez dotrzymania zaprzysiężonych warunków. Czy miał wysłuchiwać wyrzutów i skarg bojarów na jego „omylną przysięgę“ [4]). Cóżby im odpowiedział, gdyby zjawił się w Moskwie, jako wódz zdezawuowany przez króla, a wobec Moskali skompromitowany. Jakże mógł iść tam do Moskwy, kiedy król w dalszym ciągu trzymając się

---

[1]) *„Intra paucos dies“* dodaje Kobierzycki 389. Ponieważ umrze przy końcu kwietnia, więc ta konferencya miałaby się odbyć w kwietniu. Simonetta jednak w depeszy 23 II 1611 (Teki rzymskie 56) już donosi o odmowach hetmana, (a 17 II o zamiarze wysłania).

[2]) Bielowski 117.

[3]) Zresztą załoga ta też chciała przywiezienia królewicza. Marchocki (109) postawił nawet wniosek, aby załoga wysłała poselstwo do króla „aby nam dał królewicza niezwłocznie. Mieliśmy tego respekt, żebyśmy i Moskwę, która przy nas stała, utwierdzili i hetmanową perswazyę poparli“, ale przeważyły głosy, aby się nie wdawać w politykę.

[4]) Por. Herschberg, Maryna 286. Rzeczą znamienną, że kiedy w r. 1612 Zygmunt III wybierając się ponownie pod Moskwę, nalegał na Żółkiewskiego do współudziału, ten odmówił, tłomacząc się przysięgą, jaką złożył, a domagał się, aby król wysłał samego królewicza Władysława. Niemcewicz. Panowanie Zyg. III t. III.

nieugięcie swego programu (jak pisze Simonetta), chciał, aby hetman „został w Moskwie w imieniu Króla“ [1]) (a nie królewicza).

Król wymagał od hetmana za dużo, tem więcej, że tymczasem Moskwa zrażona do Polaków już nie tylko nie chciała króla, ale odpadała już nawet od programu — elekcyi królewicza. Pod tem hasłem bowiem pod koniec marca w stolicy już otwarcie podniosła głowę rewolucya.

Lud przypuszczał szturmy na polską załogę, staczając z nią zapamiętałe walki uliczne, w czasie których Moskwę spalono. Od czasu tego spalenia Moskwy nieugaszony rozbrat rozdzielił oba narody na wieki. Dla pojednania już nie było miejsca.

Przysłana bojarom moskiewskim od króla przez bratanka hetmana, oboźnego Adama Żółkiewskiego obiecanka — że po sejmie przyśle im królewicza — była już grubo spóźniona.

Pod wrażeniem tych buntów moskiewskich ogarnęło wielu panów pod Smoleńskiem łatwo zrozumiałe rozgoryczenie, które skrupiło się na przewódcach poselstwa moskiewskiego, na Filarecie, Romanowie i Golicynie.

Na tych obu przewódców bojarów moskiewskich oddawna miano oko, w obawie, że oba te rody bojarskie podkopywać będą kandydaturę Wazów na rzecz własnych pretensyi do tronu moskiewskiego, — w obawie, która jak wiadomo się sprawdzi, gdy syn tegoż Filareta Romanowa w istocie zostanie carem i obali Władysława.

Sam hetman już dlatego wysłał ich obu w poselstwie pod Smoleńsk, aby pozbyć się w Moskwie tak groźnych rywalów królewicza [2]), tem niemniej domyślano się, że to są dwie potajemne głowy buntu szerzącego się po państwie moskiewskiem. Jeśli chce się hydrę buntu zgnieść, to trzeba odjąć mu te dwie głowy. Już oddawna stwierdzono, że Golicyn tajnie krzepił i podsycał upór Smoleńszczan [3]), już w listopadzie dowiedziano się, że brat Golicyna urządził tajne nocne zebranie spiskowców w Moskwie [4]). Przedewszystkiem utwierdzał polskich senatorów w tych podejrzeniach, jeniec, były car Szujski, który podkanclerzemu Kryskiemu

---

[1]) Simonetta lc. 28 II 1611.

[2]) Bielowski 84—85.

[3]) Przychwycono „chłopa“, który nosił listy tajne Golicyna. Ms. Bibl. Czart. 342, str. 797. *Avvisi* 20 XI 2610.

[4]) Simonetta z Wilna 2 I 1611 (Teki rzymskie 56).

radził zwrócić baczną uwagę na Golicyna, bo ten chce sam tronem zawładnąć. Zarazem Szujscy nakłaniali podkanclerzego, aby Golicyna usunąć z widowni państwa moskiewskiego i za tą też radą idąc [1]) król postanowił odesłać Golicyna (a także i Romanowa) do Polski i tam go internować.

Popierał to na zebraniu (6 IV u siebie) senatorów Lew Sapieha, który dowodził, że tak Romanow jak i Golicyn wobec udowodnionego przez dezerterów smoleńskich zdradliwego porozumiewania się Golicyna ze Smoleńszczanami — powinni być internowani w Polsce.

Przeciw temu oświadczył się jednak Żółkiewski wskazując, że posłów obcego narodu nie wolno więzić „*salvo iure gentium*“ [2]). Nie mógł przecież zapomnąć, że ci posłowie przybyli tu dla zawarcia układu moskiewskiego, który on — poprzysiągł.

Zdaje się, że w obozie utworzyły się jakby dwie partye [3]), a nawet nastąpiła jakby dysputa dwu wybitnych jezuitów [4]) nad tem, czy można tak postąpić z tymi posłami. Może być, że ten, co trzymał z hetmanem to był oddany mu jezuita-kapelan Kulesza, o którym wspominam gdzieindziej. On to zapewne następnie nie chciał dawać rozgrzeszenia tym senatorom (Sapiesze?), którzy dawali królowi radę takiego zgwałcenia nietykalności posłów i wywołał przez to u tych panów wielki gniew i oburzenie.

Rzeczą ciekawą jest, że chociaż w tych ostatnich sprawach Lew Sapieha opowiedział się za programem represyi a przeciw ustępliwemu hetmanowi — to jednak w listach poufnych do żony, zrzędząc na brak wszelkich owoców wyprawy królewskiej, —

---

[1]) Tak mówił Simoneccie sam podkanclerzy Kryski, przybywszy na krótki czas do Wilna. *l. c.* Wówczas jeszcze żył Samozwaniec, więc i jego radzili Szujscy usunąć.

[2]) Kobierzycki 366. Por. Wójcicki, Pam. do Zygm. III 1846 I 22. Już raz Lew Sapieha okazał się sroższym od hetmana, kiedy mu ganił wstawienie się do bojarów za Szujskimi i ratowanie ich życia. O łagodnem następnem traktowaniu więźniów przez Żółkiewskiego, zob. Muchanow, Rukopis 279.

[3]) Kobierzycki mówi: „*displicebat nonnullis et maxime Zolkievio*“. Zapewne partya przemawiająca za uwięzieniem posłów nie omieszkała przypomnieć, że przez dwa lata (1606—8) w Moskwie, też wbrew prawu narodów, car Szujski więził posłów króla polskiego.

[4]) „*Eiusdem instituti religiosi theologos*“ Kobierzycki. U. Niemcewicz II 339 domyśla, że to byli Jezuici.

dochodzi w końcu do potępienia bezwzględnej polityki królewskiej.

Czyni to na tle sprawy najbardziej go obchodzącej — sprawy Smoleńska.

Nadzieja zajęcia Smoleńska przez kapitulacyę — wobec owych wypadków zaszłych w Moskwie — znikła zupełnie. Podczas gdy jeszcze przy końcu stycznia Lew Sapieha donosił żonie [1]): „Smoleńsk prawdziwie się chce poddać królewicowi, ale król woli sobie, boję się, że ani sobie ani synowi nie otrzyma" — to już po owem spaleniu się Moskwy dostrzega większą zaciętość Smoleńszczan. Dnia 30 kwietnia Sapieha bowiem już pisze taki surowy wyrok na najbliższych doradców królewskich i samego króla za brak wszelkiej ustępliwości:

„Jakoż uporem swym już wszystko popsowali; Smoleńsk, co się chciał poddać na imię królewicowe i ludzi 200 wpuścić, już się (teraz Smoleńszczanie) deklarowali, że wolą pomrzeć, niż się poddać, ja żadnej nadziei nie mam, aby się poddali, bo coraz to wymyślają co na nich (tj. coraz trudniejsze warunki stawiają) [2]).

Czy jednak sam Sapieha nie ponosił winy w tem zaostrzaniu warunków, a mianowicie w podkopywaniu łagodniejszych wniosków Żółkiewskiego, jak np. w sprawie wspomnianej — uwięzienia posłów moskiewskich, albo w sprawie przymuszania bojarów smoleńskich, aby przysięgali nie królewiczowi, ale królowi?

Pomimo to jednak Lew Sapieha zaczyna wraz z innymi narzekać, aby przypadkiem nie pomyślano, że on jest winien wszystkiemu. Utyskuje więc na złą radę, jaką dano królowi: „Miawszy już w ręku ziemię moskiewską, utracim ją marnie i swoje państwo

---

[1]) Ms. Bibl. Zamoy. 944 f. 12, 26 I 1611, Prochaska 64 umieszcza mylnie ten list pod r. 1610. Że mylnie, dowodem list (z dnia poprzedniego, r. 1611), przytoczony przez Prochaskę str. 76, w którym to liście podobnież rzecz ujmuje: „Wczora z Smoleńska wyjeżdżali do nas dziesięć ludzi znacznych z prośbą, aby ich król przyjął z łaską jako poddanych syna swego, a oni chcą przysiądz królewicowi i wiernie służyć. Ale król żadnym sposobem na to pozwolić nie chciał i gwałtem chce na się a tak ani sobie ani synowi ani Rzptej nie będzie miał, uporem swym wszystko popsuje i baczę to dobrze, że ni z czem do domu się wróci a będzie kładł winę na nas".

[2]) Ms. Bibl. Zamoy. 944 f. 53, 30 IV 1611.

w niebezpieczeństwo podamy", albo: „A to już Moskwę lada jako uporem swym stracim, miawszy ją w ręku" [1]).

Odjazd hetmana. Żółkiewski boleśnie odczuwał wszystkie wspomniane niepowodzenia polityki polskiej. Wszystko poszło inaczej, aniżeli radził. Gmach, który sam zaczął budować w Moskwie, rozsypywał się w gruzy. Tryumfator z pod Kłuszyna dostrzegał coraz wyraźniej, że przepadł jego program unii, a na wszystkich polach zwyciężał program walki na śmierć i życie — i to tak w obozie królewskim, jak i w Moskwie.

Wszyscy patrzyli też teraz na hetmana, jako na zwyciężonego. Pod Smoleńskiem król lekceważył go i pomijał w sprawach, które dotyczyły jego hetmaństwa [2]), coraz rzadziej się z nim porozumiewał, tak że zdawał się być hetmanem tylko z imienia.

A i hetman też „w rządy i w żadną rzecz się nie wdawał; tak był w obozie jak próżnujący człowiek" [3]).

Opuścił ręce hetman, widząc, że wszystkie jego idee przepadły — aż w tem przyszła jeszcze nowa porażka Jak wspomniałem, król porozsyłał zapytania do wszystkich senatorów w Rzptej w kwestyach wątpliwych, i hetman przypuszczał, że odpowiedzi wypadną na jego korzyść i zażądają przedewszystkiem sejmu. Tymczasem wbrew nadziejom Żółkiewskiego większość senatorów w swych listach przechyliła się na stronę króla, radziła sejm odłożyć do zimy, sprzeciwiała się oddaniu królewicza Władysława Moskwie, a tylko mniejszość była za sejmem i za osadzeniem królewicza jako lennika Rzptej [4]).

Ostatni promień nadziei hetman zgasł, czuł, że już przegrał na całej linii. Szukał pozoru, aby wyjechać z pod Smoleńska, gdzie pobyt stawał się mu coraz bardziej przykrym. Skorzystał z wieści o niebezpieczeństwie, jakie groziło granicom Rzptej ze strony Gabryela Batorego i sam się zaofiarował królowi (na zebraniu senatorów [5]), że się uda ku południowym granicom, które ma obowiązek bronić jako hetman.

---

[1]) Prochaska 76—77 (15 i 18 IV), Por. Hirschberg, Mar. 284, Archiwum Radziwiłł. Scr. rer. Pol. VIII 250 (15 IV).

[2]) *Praefecturam*, Kobierzycki 392.

[3]) Bielowski 117.

[4]) Kobierzycki 345, Teki rzymskie 56 (Simonetta 17 IV 1611).

[5]) Kobierzycki 394.

Król w pierwszej chwili skorzystał z tego i na to się zgodził, nadał mu teraz [2]) owo upragnione starostwo międzyrzeckie (11 IV 1611) i nawet w dokumencie nadawczym w bardzo pochlebnych wyrazach wysławiał tryumfy *„belli Moschovitici Ducis“* i rany pod Byczyną i zwycięstwo nad Nalewajką i wierność w czasie rokoszu „pomimo pokrewieństwa“ z rokoszanami (Zebrzydowskim) — wreszcie Kłuszyn.

Czemu król wystawił tak pochlebny dokument? Czy chciał na wyjezdnem udobruchać hetmana, tem więcej, że rokoszowe duchy zaczęły podnosić znów głowę w związku z owym Gabrylem Batorym, przeciw któremu hetman się wyprawiał? Czy może chciał zatrzymać jeszcze pewne pułki hetmana, a szczególnie jego piechotę?

W kilka dni po wystawieniu tego dokumentu hetman wyjeżdżał z Smoleńska. Kiedy żegnając króla, całował jego rękę i ofiarowując swe pokorne służby zaznaczał, że jeśli król uważa za korzystniejsze, aby został pod Smoleńskiem, to choć już przygotowany do drogi, to jednak zaraz zastosuje się do rozkazu króla — wówczas król odpowiedział, że kiedy tak bardzo napierał się tej wyprawy i kiedy do drogi już jest przygotowany, a niebezpieczeństwo grozi Rzptej, to niechże już jedzie w imię Boże.

Niektórzy senatorowie dziwili się dość ostremu tonowi odpowiedzi królewskiej — tem więcej, że Jan Potocki już leżał na łożu śmierci i wobec tego przewidywano brak tak doświadczonego wodza, jakim był Żółkiewski [2]).

Ale król nie myślał prosić hetmana o pozostanie bo przewidywał, że w takim razie hetman, jako uproszony, zyskałby znów najwybitniejsze znaczenie i znowu wziął górę nad wszystkimi [3]).

Hetman więc 16 kwietnia [4]) puścił się Dnieprem do Orszy,

---

[1]) Dokument nadania, Ms. Bibl. Jagiell. 3596 V f. 43 (kopia) por. Piasecki, Chron 320, Wójcicki, Pam. do Zyg. III, I 22. W chwili tego nadania już mówiono, że „hetman ...w ten tydzień też ma wyjechać“. Ms. Czartor. 106, str. 25.

[2]) Simonetta 24 IV 1611 pisze, że niektórzy senatorowie wyrażali przypuszczenie, że odjazd Żółkiewskiego jest ze szkodą króla.

[3]) Pisząc o tem Kobierzycki 396 piętnuje królewską *„immoderatam ambitionem aut pertinatianm“*.

[4]) Taką datę podaje w liście prowincyał jezuicki Paweł Boksza, zwykle dobrze o sprawach smoleńskich poinformowany. Ms. Czartor. 1630 str. 1095, por. Bielowski 117 „po przewodniej niedzieli“. Kobierzycki 396 podaje, że hetman wyjechał dopiero 25 kwietnia i że 4 dni później, t. j. 29 kwietnia umarł pod

Mohylewa, wreszcze do Kijowa, aby stamtąd iść przeciwko Batoremu.

Tymczasem po wyjeździe hetmana wybuchła nagle tęsknota za hetmanem. Już naprawdę liczono się z śmiercią Jana Potockiego, a przedewszystkiem przyszły rozpaczliwe nawoływania załogi polskiej z Kremlu o odsiecz. Pod wrażeniem tych wypadków król próbował przyzwać Chodkiewicza, aby przybywał w sukurs z wojskiem inflanckiem, ale myślał także o odwołaniu Żółkiewskiego.

I kiedy hetman był już w Orszy, wówczas dopędził go komornik z listem królewskim, a potem drugi z drugim listem, w którym król wzywał hetmana, aby sam wpadł jeszcze z powrotem do obozu, zostawiwszy tabor w miejscu. Z załączonego też listu Lwa Sapiehy wyrozumiał hetman, że król nalegał znowu, aby Żółkiewski poszedł z odsieczą na Kreml i objął dowództwo załogi polskiej, zagrożonej poważnie przez ludność Moskwy. Ale hetman odpisał Sapiesze, że do Moskwy się nie uda, „bo tam nie tylko mnie, ale i piechoty i pieniędzy (żołdu) potrzebują, czego ja obojga mieć nie mogę“ — pochwalał przytem hetman, że król powoływał Chodkiewicza do wyprawy na Moskwę i dodawał, że „jeśliby [1]) wojewody bracławskiego (Jana Potockiego) niestało, a mnie po nim r e g i m e n t o w a ć przyszło, tobym z Sambora piechotę sprowadził“ [2]) i pod Smoleńskiem (ale nie na Kremlu) został.

W liście zaś do samego króla hetman powołał się na to, że król doń wyraźnego nie posyła rozkazu, ale zostawia to mu do uznania [3]), zatem zdecydował: ponieważ konie już odesłał naprzód w dół na południe do Mohylewa, więc jeśli tam otrzyma pono-

---

Smoleńskiem Jan Potocki. Kobierzycki się myli, bo 19 IV już pisze hetman z Orszy do Lwa Sapiehy, Ms. Czartor. 2580. (Por. Prochaska, Przegląd histor. 294—5). Czy więc Jan Potocki umarł w 4 dni, tj. 20 kwietnia?

[1]) Więc jeszcze żył.

[2]) 19 IV 1611 z Orszy Żółkiewski do Sapiehy, Ms. Czart. 2580 (por. Prochaska, Przegl. histor. 294, porówn. Bielowski 117, 121). Por. „za Orszą pogoniono, jeszcze nic nie słychać, dali się namówić albo nie“ (Chomętowski, Koresp. Chodk. 118.

[3]) Kobierzycki 402.

wny rozkaz, to dopiero z Mohylewa zabrawszy konie, będzie mógł powrócić.

Król dostrzegłszy, że hetman nie myśli w żaden sposób wracać na Kreml, posłał gońca do Mohylewa, aby już hetman kontynuował swą podróż. Wpłynęła na to i ta okoliczność, że pod Smoleńskiem już nie potrzebował oglądać się na wodza Żółkiewskiego, gdyż pod wpływem Potockich, zdecydował się następcą Jana i niejako hetmanem pod Smoleńskiem uczynić jego brata Jakóba.

Przeciw tej decyzyi wystąpili w obozie Litwini t. j. Lew Sapieha i Krzysztof Dorohostojski, dowodząc, że w razie nieobecności hetmanów należy się prawnie dowództwo przy królu w. marszałkowi litewskiemu, którym był Dorohostojski. Król rozstrzygnął, że o takiem prawie nic nie wie i że ma prawo oddać dowództwo, komu się mu podoba [1]).

Jakób Potocki, kasztelan kamieniecki objął też dowództwo pod Smoleńskiem po bracie nieboszczyku i kontynuował nieugięcie szturmy na Smoleńsk. Oddziaływało to na wzmożenie się zaciekłości walk i na innych terenach. Tak Moskale zdobywszy Rosław wycięli w pień polską załogę. Zaczęto krytykować znowu program Potockich [2]). Król w obawie [3]) przed krytyką sejmu, który miał się zebrać w jesieni, pragnął koniecznie doprowadzić do zdobycia Smoleńska. Wreszcie 13 czerwca [4]) zdobyto twierdzę. Jakób Potocki pierwszy po drabinie wdarł się na mury. Po 97 latach odzyskano ten gród. Jakób Potocki został teraz po bracie wojewodą bracławskim, a nadto dostał starostwo [5]) ka-

---

[1]) Kobierzycki 403. Kognowicki II 268. Niezawodnie, że kanclerz litewski wyszukał Drohostajskiemu w prawach litewskich pozorów do protestu.

[2]) Lew Sapieha pisze do żony (Ms. Bibl. Zamoy. 944 f. 66, 9 VI 1611, por. Prochaska 77): „Wszystka już Moskwa zdradza, w ten przeszły piątek, jako jutro tydzień, Rosław Moskwa ubiegli pod naszemi, naszych wysiekli, owa wszystko już nie ku dobremu idzie, a z Moskwy żadnej wiadomości nie mamy. Widzą już, że złą radą swą zawiedli pana, wstyd ich, a przed się zdobią swe rzeczy".

[3]) Kozłowski, Przegl. powsz. III 344.

[4]) Załęski, Jezuici 1905, t. IV, cz. III, str. 1093 cytuje listy, wedle których zdobyto Smoleńsk 18 VI. Zapewne mylnie 8 zamiast 3.

[5]) Bielowski 126, Kobierzycki 415.

mienieckie [1]), „a co większa, choć nie tytułem, ale rzeczą samą wojewodą smoleńskim [1]).

Król urządził bankiet dla senatorów i żołnierzów na zamku smoleńskim, „popili się wszyscy i Król JMć był wesół“ [2]).

Nie przypuszczał, że w trzysta lat potem pod Smoleńskiem staną na ruinach Rzptej polskiej i cesarstwa rosyjskiego — wojska niemieckie, prące ku dalekiej ekspanzyi na wschód.

Wacław Sobieski.

---

[1]) Lew Sapieha VI 1611, *Ser. rer. Pol.* VIII 252.
[2]) Lew Sapieha do żony 28 VI 1611. Ms. Zam. 942 nr. 12 (Prochaska 78).

Charakterystyka twórczości M. Konopnickiej.

Pierwiastki treści.

Wydanie krytyczne i zupełne dzieł M. Konopnickiej [1]) zbiegło się z końcem okresu, który twórczość jej w znacznej mierze wypełniła. Polska, która przyjdzie po wojnie, będzie ją zawsze ze czcią wspominała — ale przedwojenna, pomiędzy upadkiem powstania styczniowego z końcem ubiegłego wieku zamknięta i dławiona, Polska wspomnień Grotgerowskich, męki Unitów, Kroż i Wrześni, bezprawia, wyrzucającego Polaka z siedzib odwiecznych i ukazów, pędzących go na wschód daleki, ta Polska życia swego duchowego bez poezyi Konopnickiej poprostu wyobrazić sobie nie umie.

Rozwój tej poezyi na niekorzystną dla twórczości artystycznej przypadł chwilę. Po entuzyazmie romantyzmu, w okresie pozytywistycznej refleksyi i przewartościowywania dawnych wierzeń, zabrakło duszom ludzkim materyału do mistycznego ukorzenia się, do tego religijnego niemal przyklęknięcia, bez którego wielka sztuka obyć się nie może. Jałowiała też szybko poetycka rola. Wielcy romantycy, z dumą Konradów i Królów-Duchów, nie pytali, jaką ma być ich twórczość. Wierzyli, że jest taką, jaką być powinna, a więc narodowi prorokującą i wiodącą go ku tryumfom zmartwychwstania. Ale po rozwianiu się romantycznego mirażu, gdy wielki t r z e c i d z i e ń nie nadszedł, jęły szybko wysychać źródła dotychczasowego natchnienia. Trzeba było pomyśleć o drogach nowych i w miejsce rozbitego, żywy ideał do świątyni poezyi wprowadzić.

---

[1]) M. Konopnicka. Poezye. Wydanie zupełne. Krytyczne. Opracował Jan Czubek. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Pada więc znane hasło Asnyka o pochodzie naprzód z żywymi, o zrzucaniu zwiędłych laurów ze skroni. Ale program, w haśle tem zawarty, nie dość jeszcze skrystalizowany i jasny. Pozytywnie rozwija go M. Konopnicka. Wyrosła w atmosferze potężniejących i wikłających się zagadnień socyalnych — ów pochód z żywymi pojmuje ona — jako naprawę błędów, które wobec upośledzonych nizin społecznych przeszłość popełniła, i gorąco, energicznie o zadośćuczynienie wołać poczyna.

Wszyscy zatem wydziedziczeni znajdują w niej, według słów H. Sienkiewicza, swą śpiewaczkę. Gdy Mickiewicz, gołębiem sercem obejmujący naród cały, grozy konfliktów społecznych jeszcze nie dostrzega, gdy Słowacki w ludzie jakąś mistyczną, rewolucyjną i zarazem twórczą siłę widzi, bliżej jednak wartości tej siły nie określając, a Krasiński od niej ze zgrozą się odwraca, gdy Syrokomla i Lenartowicz patrzą na lud przez pryzmat romantycznej idealizacyi, zbyt ostrych cieni nie dostrzegając, Konopnicka program swój społeczny jaśniej od nich i konkretniej formułuje. Ona na owych wydziedziczonych patrzy z bliska, nieledwie ich po imieniu nazywa. Wie dobrze, że z dziecka tak małego „że mógł rozpłakać się i wołać: Matko!“, a już przed sądem stawionego, z robotnika, którego odpoczynek sobotni jedynie do szynku woła, z kobiety upadłej, a przez społeczeństwo odtrąconej, z wolnego najmity, którego całą wolnością — prawo do śmierci z głodu, wyrasta siła, dla wielkich i jasnych celów ludzkości stracona, a ciemnotą swą groźna. Odczuwa ona całą mocą swego uczucia tragedyę nauczycielki wiejskiej, nadludzkimi wysiłkami o rozjaśnienie tej ciemnoty walczącej i padającej w walce, odczuwa ból chłopskiego, matczynego serca, któremu przemoc brutalna dziecko zabiera, i tęsknotę główek maleńkich, w cieniach suterynowych napróżno wyglądających słońca, i nędzę chłopa na przednówku. Z troską więc pyta:

Czy ci schyleni tak blisko do ziemi
Naglą jej pochód tętnami własnemi
I czy się czuje myśl wydziedziczona
Cząstką miliona?

Na zapytaniu jednak nie poprzestaje, lecz wnet o rozjaśnienie mroków, o podniesienie nizin wołać poczyna. Trwoży się, że ci, co wyżej, tak mało o nizinach onych myślą i gromi opieszałych. Chciałaby zbudzić, rozgrzać swym okrzykiem tych, co wśród drogi

zasnęli, choćby ją nie słowikiem, lecz ptakiem trwogi nazwać miano. Wątpiących o wartości trudu krzepi i do wytrwania zachęca. Ona wie dobrze, że są noce tak przepastne, iż, aby je rozświecić, słońceby trzeba zdjąć z błękitów, wie, że nie wszystko jest w ludzkiej mocy, a tembardziej w naszej.

...Jedno przecie
Każdy z nas zrobić powinien, więc może
Może za rękę wziąć to chłopskie dziecię,
Co stoi przed nim w służalczej pokorze
I poprowadzić je na ciche pole,
Gdy ranek bije smugami złotemi.
. . . .
A potem w syna swojego ramiona
Popchnąć to dziecię i rzec: „Wyście braćmi!...

Wołanie o braterstwo, modlitwa, by zginął wśród nas duch nienawiści, to najpiękniejsza strona społecznego programu poetki. Będąc jednak echem swej epoki przed właściwem epoce tej, często i z racyonalnem doktrynerstwem obronić się ona nie umie i bojowość jej pod tym względem W. Hugo nieco przypomina. Tylko że poeta francuski idzie znacznie dalej. Według niego wszelka rewolucya, wyzywająca do walki istniejący porządek, dlatego tylko, że go wyzywa, jest już zasługą. Konopnicka do tych krańców się nie posuwa. Ona tylko miewa nieraz do społeczeństwa żal wobec pewnych zjawisk, w których naprawdę niczyjej winy niema, a które poprostu koniecznością są wywołane. Umie więc z nalotem sentymentalizmu smucić się tem, że na wojnie najdzielniej biją króle, ale najgęściej giną chłopy, umie w rozdrażnieniu, zdradzającem pewne, z góry powzięte uprzedzenia, boleć, iż dziecko bezdomne kona na chłodzie bez dachu, wobec zamkniętych podwoi kościoła. W chwilach takich zdrowy, spokojny rozsądek z pewną niechęcią odwraca się od poetki. Ale za to z jaką rozkoszą idziemy za nią, gdy się w przesłonecznej roztapia wizyi:

Lipy kwitną, w sinym wskroś tumanie
Ciche — senne, w zorzach widać chaty,
A do każdej światła zwiastowanie
Jasną stopą niesie duch skrzydlaty.
. . . .
Lipy kwitną, wieją wonie miodu,
Prastarego wieją wonie cudu,
Oto przejrzał ślepy syn narodu,
Oto przejrzał duch mojego ludu.

Jako troskliwa orędowniczka cierpiących, choć słabym i nędznym gorąco służy, nie poprzestaje M. Konopnicka jednak na objęciu sercem jednej tylko warstwy społecznej. Uczucie jej ogarnia najpierw maluczkich i upośledzonych swego narodu, a potem naród cały, nękany i krzywdzony. Talent poetki przedewszystkiem liryczny, więc też historycznej, objektywnej epiki znajdujemy u niej mało. Jest natomiast pełne miłości roztopienie się w dziejach Polski z jej dawną wielkością i niedolą obecną. Płacze ona ludzi i rzeczy minionych, szumnych proporców odsieczy wiedeńskiej, dźwięku trąb dnieprowych i szczęku oręża, płacze, bo wie, że do każdej mogiły „przeszło pod ziemię coś z pędu i siły skrzydeł tych, co nas po świecie nosiły“, wie, że „pod kurhanem, pod tarczą gdzieś rdzawą śpi to, co było: życiem i sławą“. Chwilami ją ogarnia smutek, beznadziejny prawie, iż dzień zmartwychwstania tak daleki jeszcze, chwilami w smutku tym wzburzeniem zbyt gorzkiem i niesprawiediiwem nawet ku narodowi swemu wybucha, wyrzucając mu z okrzykiem *ergo erravi,* że zmartwychwstania tego przyspieszyć nie chce i nie umie. Chwilami wreszcie, jako nieodrodne, choć pogrobowe dziecko romantyzmu, przechodzi poetka od goryczy i zwątpienia do uniesień, w których wyraźnie echa mesyanizmu dźwięczą:

„Długoś wodził ludu polski
Twój piastowy pług.

. . . .

Nie nasycił cię chleb ziemi,
Nie zbawiły boje,
Boś ty inne, boś ty wyższe
Wziął posłanie Twoje.

W imię ojca tyś zrodzony,
Pośród zbóż i pól,
W imię syna umęczony,
Przez twój krzyż i ból.
Dziś, gdy padła na twe niebo
Noc długa i głucha
Ludu polski, ty świętego
Nosisz sztandar ducha.

Zżycie się, zrośnięcie z Polską w bolu, zwątpieniu czy też nadziei stanowi drugi, bardzo zasadniczy ton poezyi M. Konopnickiej. Poetka na wszystko prawie, co jej świat zewnętrzny podaje, przez pryzmat Polski patrzy. W Wielki Piątek zdaje się jej, że

Chrystus nie w obcej krainie, za morzem, lecz tu u nas ciernistemi drogami chodził, że tu miał swą Golgotę i że się tu dnia trzeciego zmartwychwstania doczeka. Nie dość na tem. Nawet wtedy, gdy piękno, które artystka tej miary odczuć umie, piękno wielkie, wszechświatowe, nie polskie, przed oczyma jej staje, gdy jej dusza jak pątnica w świątyni piękna tego przyklęka, nawet i wtedy Polski z oczu nie traci ona. Poranek nad Wenecyą wschodzący smutne szare świty nasze na myśl jej przywodzi, wierzba w Prato — polskie wierzby przypomina. We Florencyi, pod katedralnem sklepieniem słyszy wraz z lirnikiem mazowieckim wsi naszej litanię, przez pola i sianokosy płynącą. Podczas Miserere w kaplicy sykstuskiej widzi lud polski, „od wełn swych ciemny, od lnów swoich biały", na pasterkę idący. Gdy nam mówi o Madonnie Giotta, ciemnej na twarzy i zadumanej ziemskim smutkiem, a tak bardzo naszej, iżby się jej ni ptaszę przydrożne ni sierota nie ulękła, to pomimo woli oczy nasze dostrzegają w tej wizyi Panią z Częstochowy i Ostrej Bramy wskróś polskich łanów kroczącą.

Dzieciątku Jezus na obrazie Vivariniego anielscy muzyczkowie choć z nieba rodem, bardzo jakoś z mazowiecka „rzną kapelę". A kiedy w Rafaelowej Madonnie ze szczygiełkiem, w tym zupełnie pogodnym, renesansowym obrazie, Dziecko Boże mówić poczyna o krzyżu swym co ma stanąć na polnej miedzy, wśród cichych siół, o gniazdach zburzonych w ziemi tej smętnej i o rzeszach ptaszęcych, jastrzębim szponem pobitych, to znowu czujemy doskonale, że w tej chwili Włochy z całą krasą i weselem Odrodzenia z przed oczu poetki znikły i że tylko krainę mogił i krzyżów widzi ona przed sobą.

Niedola wydziedziczonych społecznie i niedola Polski, to dopiero dwa kręgi, w których się serce M. Konopnickiej obraca. Do nich przybywa trzeci krąg bolu ludzkości całej. Pamiętajmy, że rozwój talentu poetki przypada na epokę, która ma już poza sobą dwa wielkie rozczarowania, a więc: rozwianie się romantycznego mirażu i zawód, jaki przyniósł stuleciu pozytywizm, obiecujący potęgą myśli ludzkiej świat uzdrowić i uszczęśliwić, a ostatecznie własną niemocą zwyciężony. Więc też w sercu jej odnajdujemy to wszystko, czem żyło i nad czem bolało jej stulecie. Mamy w niem i dynamikę romantycznego uczucia i kult dla myśli ludzkiej i wiarę w nieśmiertelne myśli tej prawo, wreszcie smutek, że pomimo jej wysiłków, mroki nie ustępują, a dzień daleki jeszcze.

Poetka zna dobrze tragedyę wzlotów ludzkości i jej upadków, nadziei prometeuszowych i tępych trudów Syzyfa. Lecz pomimo swej głębi, ból jej w rozpacz beznadziejną, w martwy pesymizm nie przechodzi. Miewa ona chwile lęku, miewa zwątpienia przelotne, miewa i przygnębienie pełne przeczucia, iż smutne zapytanie: „Co to jest życie?“ błąkać się będzie wiekuiście po duszach cierpiących. Lecz wiara, że po nocy dzień nastąpić musi, że niema zła, któregoby silna wola i miłość nie złamały, zwyciężają ostatecznie w jej sercu. Tą wiarę koi ona i umacnia wątpiących:

Czekaj na kwiat, czekaj na kwiat
Co ma zakwitnąć po burzy,
Czekaj na świt, czekaj na świt
Co się ze zmierzchów wynurzy.

Czekaj na głos, czekaj na głos,
Co wyjdzie z cichej pustyni,
Czekaj na sąd, czekaj na sąd,
Co sprawiedliwość uczyni.

O ten świt, o to zejście sprawiedliwości woła ona przez życie całe, wytrwale, uparcie, przy pomocy swej poezyi i wbrew niej nawet. Bo gdy na ołtarzu tej służby artyzm złożyć jej wypadnie, czyni to bez wahania. Piękno dla piękna stosunkowo rzadko i dopiero w późniejszej fazie twórczości poczyna zajmować poetkę. Rzadko też beztendencyjna rozkosz tworzenia staje się jej dziełem. I choć pod względem precyzyjności rysunku, siły i barwy obrazu i bogactwa dźwiękowego wiersza stać ją na mistrzowstwo, jakie poeci francuscy w drugiej połowie ubiegłego stulecia osiągnęli, ani poezya emalii i kamei, ani wirtuozostwo dźwiękowe symbolistów nie znajdują w niej apostołki. Zaniedba obrazowość, zatraci melodyę, gdy tego w pojęciu jej zajdzie potrzeba dla siły i dobitności argumentu. Nie sztuka dla sztuki, ale sztuka dla ludzi przedewszystkiem — oto jej hasło. W tem leży przyczyna częstych uchybień, jakie pomimo swego talentu wobec majestatu czystego piękna popełniała, ale w tem też odnajdujemy tajemnicę owego uczucia, jakie poetkę ze społeczeństwem połączyło. W dniach bardzo mrocznych i dusznych, gdy siły mdlały, gdy upadały serca, nie pytano o nieskazitelność artyzmu, szukano nakazów krzepiących, obietnic wlewających otuchę. A te w poezyi M. Konopnickiej znajdywano zawsze.

Owa zdolność współczucia z bólem człowieka, narodu i ludzkości, owo poczucie, że się powinno, wedle sił i mocy nieść pokrzepienie cierpiącym, a słabym otuchę, wyciska zasadnicze piętno na całej twórczości poetki. Ono będzie odwracało liryzm jej od egotycznych szlaków i stanie się czynnikiem przemożnym i decydującym w jej stosunku do Boga, do miłości i natury, do sztuki i poezyi.

Przystępując do scharakteryzowania jej uczuć religijnych winniśmy pamiętać, iż mamy do czynienia z umysłem zgoła nie filozoficznym, z psychiką dość namiętną i często nabolałą, z kultem dla praw ludzkiej myśli, dla jej niezależności i mocy, kultem takim, jaki epoka pozytywistyczna wyrobić w niej musiała. W analizie tej wypadnie nam rozróżnić dwie rzeczy zasadnicze — a więc stosunek poetki do kościoła i do Stwórcy.

W pierwszym — duch to niepodległy, dla którego wszelki przymus męką się staje. Więc głosi ona śmiało prawo do wiary nie „ślepej“ lecz „widzącej“, do wiary, w której pomiędzy sobą a Bogiem pośrednika nie chce. Z goryczą parafrazuje formułę kanonów soborowych „*est anathema...*“, z goryczą też przed obrazem Brożika, sąd nad Husem malującym, staje. A już do najdalszych, zadalekich i niesłusznych granic wzburzenie jej dochodzi w wierszu Do OO. Zmartwychwstańców, w którym ich o zaniedbanie spraw Polski w Rzymie, a Rzym — o sprzedanie tejże Polski na targu europejskiej dyplomacyi pomawia (wiersz ten wydany pod pseudonimem i za życia poetki nie wcielony do żadnego wydania zbiorowego, coby może świadczyło, że o nim w dniach chłodniejszej rozwagi ona zapomnieć pragnęła).

W wierszach, które bezpośredni stosunek do Stwórcy malują, uderza — jako ton znamienny — bunt poetki wobec cierpienia. Konopnicka nie pojmuje, nie odczuwa zgoła tej mocy, jaka z niego na duszę ludzką spływać może. Rezygnacyę odnajdziemy w niej dopiero pod sam koniec jej poetyckiej pracy. W latach wcześniejszych umie ona z goryczą zwracać się do Boga: „Ja się nie skarżę!... Smutno mi tylko, żeś Ty — całej tej nędzy jest Panem“, umie wołać do ludzi, by płakać przestali, bo ich jęk spokoju błękitów nie zakłóci. Ale mylilibyśmy się, gdybyśmy z tej buntowniczej goryczy, jakąś jednolitą linię rozwoju uczuć religijnych poetki

wyprowadzić chcieli. Wszakże po wybuchach żalu stać ją na prośbę, prawie że dziecięcą w swej prostocie:

Na Twej mi szacie daj być kroplą rosy
Nie, iżbym w sobie odbiła niebiosy,
Ale, bym drżąca pod stopy Twojemi
Łzą ubłagalną była dla tej ziemi.

Umiało też jej serce zwracać się w modlitwie tam, „gdzie się jasna świeci Częstochowa“ i gdzie Pani o żałosnej twarzy „ziemię tę naszą utula sierocą“.

A i o tem pamiętajmy, że jest wśród poezyi M. Konopnickiej jeden bardzo piękny wiersz, w którym mędrzec, co ciało i duszę na atomy rozbił, co przejrzał tajniki ruchów i sił światem rządzących — wszystkie wiary, wszystkie sny złudzeniem nazwał i dziś patrzy obojętny w milczącą pustkę „wskroś świata czy wskroś siebie“. A jednak, gdy o zachodniej porze stary zegar głosem sygnaturki na Angelus bić poczyna, wtedy mędrzec, choć mu dzień znojny cięży i pustka głucha w piersi doskwiera, podnosi nań oczy

I jakichś głosów słucha...

Otóż kto wie, czy takich głosów nie dosłuchiwała się i poetka w cichej zmierzchu godzinie.

O tem, jak rzadko liryzm M. Konopnickiej po egotycznych szlakach kroczy, świadczy fakt, iż miłość, która stanowi tak ważną zasadniczą treść przeżyć osobistych, stosunkowo bardzo rzadko w jej twórczości mówi nam o sobie. Romans wiosenny miejscami dźwięczny, czasem trochę sztuczny, będący zresztą wyraźną i prawdopodobnie świadomą parafrazą W Szwajcaryi, dalej drobny poemacik W zielone, grupa erotyków, ogólnem mianem Listów objęta, a pozatem przelotne, tu i tam odzywające się echa, z których najgorętsze, naprawdę warem żywej krwi tętniące to wspomnienie Willi Wołkońskich w Rzymie — oto wszystko, co liryka jej w zakresie tym nam daje. Boć do poezyi miłosnej nie można żadną miarą zaliczyć owego słynnego, programowego wiersza Do kobiety. Może nigdzie bowiem nie zaznaczyło się tak dobitnie i tak jaskrawo, jak w nim, owo uspołecznienie poetki, składającej talent swój na ołtarzu służby pewnym umiłowanym hasłom. W wierszu tym, który zrodziła bardzo zacna myśl, by kobietę kochającą uchronić od egoizmu miłosnego, wzniosły ideał

żony i matki jej wskazując, tyle jest nakazów moralnych i społecznych, że zabijają one miłość i poezyę nawet.

Listy są ładne, ale ich miłość smutna, beznadziejna prawie. Chwile upojenia i beztroski rzadkie tylko i przelotne. Od pierwszego niemal erotyku czujemy, że uczucie, co je ożywia, w bujny barwny kwiat nie rozkwitnie, że rychło zwiędłym liściem wspomnień na dno duszy opadnie. Ale nie to ich najistotniejszą cechę stanowi. Charakterystyczną w nich jest niemożność zatopienia się we wrażeniach czysto osobistych, niemożność odejścia od życia, by jedynie w marzeniu utonąć. Oto w jednym z ostatnich Listów śle poetka ukochanemu uśmiech szczęścia. Nie ze światów górnych spłynął on ku niej, lecz od roli przyleciał, rannymi pługami przeoranej, skowronkową pieśnią dzwoniąc, woń skiby pod zasiew przygotowanej przynosząc ze sobą.

Ten zasadniczy ton liryzmu M. Konopnickiej narzuca się jej i w stosunku do piękna przyrody. Patrzy ona na to piękno najczęściej przez pryzmat doli człowieka. I dlatego to opis właściwy, konsekwentnie od początku do końca przeprowadzony i w całość obrazu się wiążący, rzadko kiedy u niej występuje. W całym obszarze jej lirycznej twórczości trzy grupy takich opisów odnajdujemy. Przedmiotem ich: polskie góry, Ren i włoskie morze. Pierwsza grupa do najwcześniejszego okresu twórczości należy i znać to odrazu. Nie brak w niej pewnych poszczególnych piękności, pojawia się już i strofa melodyjna i kunsztownie zbudowana. Ale pojawiają się też i obrazy sztywne i nieudolne jeszcze. Stopy bose Tatr, przepysznie rzeźbione gór ciała, ramiona kamienne, jako Karyatydy podtrzymujące strop nieba, uderzają przykro pretensyonalnością i brakiem smaku. W grupie Ren bardzo piękna jest ta skała, kwitnąca kwieciem ducha. Są jednak w tejże grupie opisy, w których razi dysproporcya pomiędzy zamierzeniem a wykonaniem, a właściwie razi wybór tematów, przechodzących siły poetki. Ten szalony rozpęd, ten ogrom ruchu, jaki oko obejmuje odrazu, nie nadaje się do opisu słownego, w którym następczo muszą występować szczegóły, wzrokiem współcześnie chwytane.

Najpiękniejszy wśród poezyi opisowej M. Konopnickiej jest cykl Morze. I bezmiar jego kojący i czar barwy umiała zakląć poetka w żywe słowo. A w cyklu tym najsilniej zajaśniał talent jej we wspomnieniu Certozy San Martino pod Neapolem:

Święty ojcze Kartuzie zamknij twe klauzury,
Ja chętnie się wyrzeknę uciech tego świata,
Lecz niech mi takie morze ogromne kołata,
O takie stare, ciche, słońcem złote mury.

Niech mi tak w oczy wieje żagiel białopióry,
Niech srebrnych aloesów zamyka mię krata,
Niech takich zórz zachodnich różaność skrzydlata
Na takich gór mdlejące rzuca się lazury.

Niech mi rankiem Sorrento białe wschodzi co dnia,
Niech noce me rozżarza wulkanu pochodnia,
Niech Neapol do stóp mi ściele swe lazury.

Niechaj moje źrenice tak, jak twe gołębie
Na Capri, na Nisidy wieszają się zrębie,
A psałterz niech śpiewają ze mną fal tych chóry.

Sonet ten pod względem artystycznym poprostu doskonały, najpierw doborem barw i obrazów, onych słońcem złotych murów, srebrnych krat aloesu i różanych skrzydlatych róż zachodu, a potem zaletami dźwiękowemi wiersza. Samogłoskowa jego pełnia przy powtarzaniu się rymów uderza w ucho, jak potężny, dźwięczny rytm morskiej fali. Ale i pod względem treści wart on uwagi. Odnajdujemy bowiem w nim to, co w poezyi M. Konopnickiej stosunkowo rzadko się przejawia, odnajdujemy bezwzględne, od wszelkiej troski wolne roztopienie się duszy w pięknie przyrody. Wszystkie struny bolu zamilkły i oto mamy chwilę zupełnie beztendencyjnej, bezinteresownej, samej sobą się karmiącej rozkoszy estetycznej kontemplacyi i artystycznego tworzenia.

Obok trzech wymienionych powyżej grup nie brak w poezyi M. Konopnickiej pierwiastku opisowego. Ale pierwiastek ten rozpylony wskroś jej liryków odgrywa rolę tła dla radości i niedoli, nadziei i zawodów ludzkiego żywota. Wracamy więc znów do zasadniczego tonu. Owe fragmenty opisowe: słońce, co w strudze blaski przelewa, chaty smutne, role czarne i złote zbożowe pola, mogiły krwią pojone, bory ciemne, dąbrowy szumiące, kwietne głogi, kaliny koralowe i lny błękitne — wszystko to składa się na jeden wielki obraz, któremu na imię Polska. A na tle tego obrazu najczęściej i najchętniej rozsnuwa poetka szare, bliskie ziemi pasmo chłopskiej doli.

To, cobyśmy nazwali humanitaryzmem Konopnickiej, wyciska swe piętno i na stosunku jej do sztuki. Artyzm poetki nie mógł

być obojętny wobec przejawów tejże sztuki i dlatego przy zetknięciu się z nią, na klasycznej włoskiej ziemi „rozwiośniał majową pogodą“, myślom skrzydła uczynił i „co czystsze i słodsze“ biorąc na lutni tony, w potężny odzew zadzwonił. Od Fauna, któremu rozkoszą dyszy pierś naga, po przez jasne wizye Angelika da Fiesola, aż do fresków Rafaela, wśród których na tle blasków świetlistych i purpury zórz jutrzenkowych „papa Giulio w bieli chodzi“, chłonie chciwie wrażliwa dusza Konopnickiej piękno klasycznego świata, średniowiecza i renesansu. Ale nie zatraca się na długo, nie roztapia w tem pięknie. I tu silny głos ziemskiego bolu woła na nią. Wiemy już, że o Polsce nie zapominała nawet wobec jasnych świtów włoskich. Ale nie dość na tem. W Wenecyi, na Riva dei Schiavoni, doszuka się ona płyty marmurowej, na której wyraz Damnata, wyryty ręką niewolnika, „podwaja w swym błękicie morze“, miastu na wiekuistą hańbę. Jasna, pogodna Madonna Sykstyńska opuszcza wrota niebieskie, bo nocą „ziemia sierota“ i groby jej skargami swemi wołają o „żywot i zorzę“. Najcharakterystyczniej zaś, najtypowej zaznaczyła się owa niemożność poetki zapomnienia o tem, co nędzne i cierpiące nawet wobec najbardziej kuszących zaklęć piękna w wierszu z cyklu Hellenika, p. t. Helios.

Oto nad młodą ziemią wstaje bóg-słońce, rozpuszcza ogniste włosy, złoto leje w czarę Egejskiego morza, rosy na Peljon sypie i lud stu wysp do życia budzi. Wstaje więc lud ten w światło zapatrzony, pogodny a mężny, płaczu ni jęku nie znający — lud — którego pieśń dźwięczy weselem wiosny, a którego męstwo jest tak radosne, że idącym w bój skronie mirtem wieńczyć każe. Śmieje się Helios, rad z dzieła, wzbija coraz wyżej boskie czoło, coraz wyżej strzały swe puszcza i coraz ogniściej wozem kieruje. Lecz w biegu tym niebacznie, pomimo woli niewolnika budzi. I nagle poczyna się psuć dzieło Heliosa. Helota wznosi swój nagi, spodlony grzbiet, a choć stoi niemy, bogom bladość na lica występuje, Peljon czernieje od olbrzymiego cienia, co nań pada. Cudna linia ciał greckich paczy się i wykrzywia,

> A w lirach brzmią nieznane wpierw
> Zadumy smętnej tony.

Więdnieją kwiaty, czerw podgryza laury i gaje mirtowe, pękają stare klasyczne formy, nowa treść w nie wchodzić poczyna. Tracą siłę pęki strzał Heliosa

I nim koń słońca w morzu pił
Zamierzchły wód zwierciadła,
I młoda Grecya w pełni sił
I w pełni piękna padła.

W wierszu tym podeptała poetka śmiało historyę, bo helotyzm nie był Fatum Grecyi i upadku jej przyczyną. Ale darujmy jej tę licencyę; okupuje ją artyzm wiersza. Pisany lekkim, dźwięcznym jambem, o rymach mieszanych, w których męskie siłą uderzają, tchnie on naprawdę odblaskiem helleńskiego piękna i nietylko w twórczości Konopnickiej, ale i w poromantycznej liryce wogóle pięknem tem uderza, treścią świadcząc dobitnie o szlakach ideowych, o których i myśl i serce poetki nie zapomniały nigdy prawie.

Zanim przejdziemy do zajęcia się zewnętrzną stroną twórczości Konopnickiej, wypadnie nam dokładniej jeszcze zbadać to, o czem we wstępie była mowa, a więc stosunek jej do poezyi, poglądy na rolę i posłannictwo poety.

Odrazu we W s t ę p i e, który jest jednym z najwcześniejszych wierszy uderza pełnia wiary w moc tejże poezyi.

Za ostatnim poetą ateńskim zamknęła się brama. Plato, usunąwszy ich ze swej republiki — odetchnął. Odtąd poezya zdradziecka nie będzie rozmarzała umysłów i ludzkość, od wieszczów uwolniona, trzeźwo patrzeć na życie się nauczy. Tak radował się w duchu prawodawca, gdy nagle pacholę, w błękit niebieski zapatrzone, zasłuchane w echo Homerowej pieśni, cienie wielkich ojców wywołującej z grobu

Głosem czystym, jak kryształ wołał: Lutni! lutni!...

Zatroskał się Plato. Poetów usunięto, ale poezya została i przez usta wyznawców swoich wołać będzie wiekuiście: „Jam jest nieśmiertelna!“

Ten jej tryumf głosi poetka śmiało, nieprzerwanie. W sporze o wartość poezyi, o jej zadania i cele zdanie Konopnickiej uderza zawsze mocą afirmacyi. Jako dziecko dni, które tak bardzo w potęgę rozumu wierzyły, uczyni ona charakterystyczne wyznanie: „Wielki Ty jesteś serc królu, poeto“, lecz „większy Ty, myślicielu, co głosisz prawdy odwiecznej ustawy“. Ale to wyznanie poezyi nie poniża. Konopnicka wierzy bowiem głęboko, że kiedyś, w dniu ostatnim, gdy Bóg obchodzić będzie w górze „żniw ducha święto“, pieśń w gronie bratnim obok wiedzy i prawdy stanie.

By jednak tak było, pieśń ta człowieka z Bogiem wiązać winna „wziąwszy w siebie wszechwieków tęsknotę i struny złote z niej uczyniwszy“, winna iść w królestwo cieni i walczyć z nimi miłością, winna nie słowikom wtórzyć, nie z różami kwitnąć, lecz płakać z człowiekiem.

I otośmy znowu u hasła zasadniczego. Jak gromki okrzyk tryumfu odezwie się ono w Cytarze Tymona:

Zaprawdę chwila idzie już,
Kiedy ta ziemia cała
Pod srebrem rzek, pod złotem zórz
Jak lira będzie stała.

. . . .

I milion strun ozwie się z chat,
Gdzie milczy dziś Helota!...

W Naszej harfie błogosławieństwem płynie to hasło dla pieśni naszej, prastarej pieśni Aryów, co szła „za porankową ducha gwiazdą“, otchniona brzaskiem zorzy, niosąc ukryte w ramionach gniazdo skowronkowe, tak bliska Boga, że mu u stóp wiązała swe struny, potępieniem wybucha dla tych, co się jej zaparli, co duszę rozbratali z ideałem, wznosząc w asyryjskich chramach „żądz dymiące ołtarze“; w powagi zaś i miłości pełne napomnienie układa się hasło ono w wierszu Do braci pieśniarzy, którym poetka broni kolorów tęczy, barwy róż, blasków piór pawich i tonów pieszczonych: bo pieśń nasza winna być „bitwą o słoneczność dla ziemi“ i „modlitwą o świty“, z których „dzień buchnie nam za mocą Bożą“.

(Dok. nast.)

M. Dynowska.

Notatki.

Ze wschodu wracają ci, których tam zaniosła fala wojny. Przynoszą wieści o losach milionów ludności polskiej, wyrzuconej na obczyznę, żyjącej wśród niezwykle ciężkich warunków. Przedewszystkiem jednak przynoszą oni z sobą jedno wielkie złudzenie, które boleśnie pryska przy zetknięciu się z rzeczywistością. Uwierzyli oni, tam na obczyźnie, że na ziemi naszej istotnie powstało udzielne polskie państwo, z polskim rządem, polskimi organami wykonawczymi, polskim skarbem i polskiem wojskiem. Przypuszczali, że u wschodnich rubieży dawnej Rzeczpospolitej powitają ich gościnnie przedstawiciele polskich władz, że otoczą ich opieką i zawiozą do kraju. A tymczasem spotyka ich przykre rozczarowanie. Nie wszyscy wogóle mogą się dostać do kraju. Wielu pędzonych jest w nowoczesną niewolę — na roboty do krajów zachodnich. Dziesiątki tysięcy czekają przez długie miesiące, o głodzie i chłodzie, czekają daremnie na otwarcie granicy. Wielu z nich pada, trapionych chorobą i nędzą. Mówiono im w Rosyi: wracajcie, a kraj was przyjmie z otwartemi rękoma. Czekają czasami coprawda na nich przedstawiciele „rządu" polskiego, ale ich znaczenie jest bardzo mizerne, mniejsze, niż władza feldwebla, który pilnuje uchodźczych baraków.

Ale ten brak wiadomości o istotnym stanie rzeczy w kraju w innych jeszcze kierunkach wywołał fatalne skutki na wychodztwie. W imię rzekomej woli kraju rozbijano organizacyę wojska polskiego, gdyż rzekomo wojsko tylko w kraju może powstać. Skutek był ten, że w kraju niema wojska, a nasi wschodni aktywiści w rodzaju Lednickiego przeszkadzali skutecznie jego organizacyi, wyzyskując swoje wpływy u różnych prowizorycznych wielkorządców

Rosyi. W imię rzekomej woli kraju starano się tłumić organizacyę polityczną polskich wychodźców i wysuwanie przez nich prawdziwie polskiego programu — gdyż tylko kraj ma mieć prawo zabierania głosu w sprawie polskiej. Nie wiedziano o tem, że kraj musi milczeć, przygnieciony okupacyą. Słowem, niewiadomość o istotnym stanie rzeczy w kraju była źródłem wielu błędów i wielu grzechów.

Winnych znaleźć łatwo. Winę ponoszą najpierw te czynniki polityczne, które słały świadomie fałszywe wieści na wschód, chcąc dodać sobie powagi władzy w ten sposób, że inni w tę władzę uwierzą. Niepodobna było tych fikcyi podtrzymywać w kraju, nadawały się one tylko na eksport. Gdzieś na wschodzie, gdzie tęsknota za krajem idealizuje wszystko, co z kraju pochodzi, można było uwierzyć, że Tymczasowa Rada Stanu naprawdę objęła władzę w kraju (o czem rok temu telegrafowano do Sztokholmu), że Rada Regencyjna naprawdę sprawuje władzę zwierzchniczą, krępowana tylko okupacyjnemi koniecznościami, że rząd polski jest naprawdę rządem. I tam na wschodzie, istotnie wierzono w te wszystkie zapewnienia.

Pośrednią winę wywołania tych wielu nieporozumień ponosi także metoda budowania państwa polskiego. Telegramy rozniosły wiadomość o utworzeniu gabinetu, złożonego z całego szeregu ministerstw — niemal wszystkich, które posiada każde normalnie funkcyonujące państwo. Ktoś, ktoby z daleka tylko czytał te wiadomości, mógłby całą rzecz wziąść na seryo. Nie dowiedziałby się tak łatwo o tem, że tylko dwa ministerstwa naprawdę mają coś do roboty, i że one nawet nie przejęły całej władzy. Wiedziano o istnieniu ministerstwa rolnictwa i dóbr koronnych, ale nie wiedziano o tem, że w starych dobrach koronnych wycinanie lasów odbywa się zupełnie spokojnie, a ministrowi nic do tego. Na podstawie istnienia ministerstwa aprowizacyi można było przypuszczać, że to ministerstwo ma jakiś zakres działania; jeżeli istnieje ministerstwo handlu i przemysłu, to można było przyjąć, że przemysł nasz został uruchomiony. Nikomu nie mówiono o tem, że każde niemal z tych ministerstw, to *lucus a non lucendo;* że w najlepszym razie, jak np. ministerstwo spraw wewnętrznych, zajmują się one przygotowywaniem projektów na przyszłość, czyli mniej lub więcej udatnemi wypracowaniami seminaryjnemi. Dołączyły się do tego różne reprezentacyjne wystąpienia Rady Regencyjnej, różne

godności i tytuły dworskie i w ten sposób powstał obraz, który z daleka mógł pięknie błyszczeć, a z bliska raził blichtrem i szychem. Ale ta „budowa państwowości polskiej“ przynajmniej w części spełniła swój cel: nie dając społeczeństwu istotnej władzy, wywołała za granicą przynajmniej w części złudzenie, o co głównie chodziło.

Wreszcie winni są także i ci, którzy świadomie wśród polskiego wychodźtwa szerzyli fałszywe wiadomości o faktycznym stanie rzeczy. Były to żywioły najrozmaitsze: z jednej strony radykalne elementy postępowo-żydowskie, z drugiej te żywioły konserwatywne, które po upadku caratu zaczęły rozglądać się za innym domem panującym. Nie mając popularności w opinii publicznej, usiłowały otoczyć się autorytetem zaufania kraju dla swojej polityki. Odpowiednio do tego konstruowano krajową opinię.

Oczywiście, że tak mogło trwać tylko kilka miesięcy. Kraj dowiedział się, co myślą żywioły polskie, wyniesione wojną na wschód, a przedewszystkiem te żywioły poinformowały się o losach politycznych kraju. W przyszłości uda się uniknąć nieporozumień opartych na nieświadomości i na świadomej a kłamliwej agitacyi. Ale kto wróci szkody, które ona przyniosła życiu tylu tysięcy, złudzonych fałszywemi obietnicami, a przedewszystkiem sprawie wojska polskiego?

* * *

Od długiego już czasu nasza polityka narodowa zwraca swe oczy na liczne oznaki występującej coraz gęściej bolszewickiej agitacyi, która niewątpliwie zagraża mocno ożywiającemu nas duchowi narodowemu, usiłuje skrępować jego dążenia, złamać jego dotychczas tak czystą linię, odwrócić nas od wyznawania programu twórczego, szczerze narodowego programu, opartego na gorącem pragnieniu skupienia całego narodu i ogarniającego w jednej łączności wszystkie dzielnice. Oczywista absurdalność bolszewickich pomysłów nie zdołała odstraszyć tych żywiołów. Mogą one swoją agitacyą wywołać rozstrój, uruchomić elementy, które na lep propagandy anarchistycznej pójdą bez wielu zastrzeżeń. Łatwo ocenić wartość tych wysiłków. wywołujących zresztą opór. Niewątpliwie, że pochodzą one ze ślepej zawiści i nienawiści, z instynktów, które rozbudza chyba tylko niesumienna agitacya, okupując chwilowy

sukces ciężkiemi szkodami narodowemi. Opiera ona swe nadzieje na oddziaływaniu urządzeń rosyjskich, na uległości, którą objawić ma społeczeństwo wobec umiejętnej propagandy z zewnątrz płynących, coraz innych haseł, usiłujących utrącić ideę jedności narodu, a natomiast zrzeszyć masy wokół znanych powszechnie destrukcyjnych pomysłów, obecnie ujawnionych przez bolszewizm.

Oczywiście, wobec twardej rzeczywistości, prysnęła niezbyt delikatna budowa bolszewickich usiłowań. Po kilku miesiącach rządów zawarto upragniony pokój w Brześciu, który wykazał jaskrawe rezultaty bolszewickiej agitacyi. Nie przyniósł on żadnego sukcesu, łącząc hańbę tylu upokorzeń wielkiej niegdyś Rosyi, obecnie beznadziejnie uwikłanej w przewlekłe, ostre przesilenie, z którego nie widać ratunku, z powodzeniem anarchicznych ideałów bolszewickiego kierunku. Wtenczas, w całej nagości, bez osłonek, wystąpiła nicość programu bolszewickiej zagranicznej polityki, jednym zamachem udaremnionej przez bezsilność akcyi na zewnątrz. Można w wiele uwierzyć, trudno przypuścić jednak, by po ujęciu władzy bolszewicy bez wahania szli ku przepaści, wykopanej przez ich własne, bolesne zawody i upokorzenia. Być może, wystąpią w Rosyi usiłowania naprawy, po długiem błądzeniu i kołowaniu. A trudno uwierzyć już w siłę promieniowania na zagranicę haseł, które znikomemi i czczemi, ostatecznie dla wszystkich, okazały się u siebie, tak bezbrzeżnie bezcelowymi na własnym, ojczystym gruncie.

Od długiego już czasu mąci umysły nasze uczucie obawy przed rzeczywiście zgubną a znaną zbyt dobrze, demagogiczną, wprost zbrodniczą, agitacyą bolszewicką. Kilku polityków usiłuje dziś zdobyć sobie uznanie, rzucając przed oczy niezbyt krytycznych a bardziej podatnych żywiołów złowrogie hasło podziału majątków i różnych innych pomysłów, tak niebezpiecznych w społeczeństwie, zagrożonem już dość znacznie istniejącymi obecnie warunkami społecznymi. Bezwątpienia układ naszego życia gospodarczego sprzyja wybujaniu antagonizmów i utrudnia zgodne pożycie wewnątrz organizmu, którego harmonię zewnętrzna interwencya wielokrotnie usiłowała zamącić. Przedewszystkiem nie może minąć bez śladu wojna. Zniszczyła ona ogromne materyalne siły, a sprowadziła też groźne moralne przewroty. Wojna odwraca wiele pojęć, ustalonych od wieków, otwiera perspektywy łatwego zarobku, jednym zamachem zwalnia z obowiązków, nienaruszalnych niezbyt

dawno temu. Słowem, wyzwala ujemne pierwiastki, które lekkomyślna propaganda demagogiczna zdoła wyzyskiwać celem zniszczenia społecznego ładu. Lecz trzeba odróżnić agitacyę bolszewicką od rozluźnienia węzłów społecznych, sprowadzonego przez długie trwanie dolegającej wszystkim wojny. Bowiem anarchia ogniskuje się w kraju, bez bolszewickich nauk, skutkiem wojennych zmagań i dolegliwości. Ruchy te naturalnie osłabiają moralność społeczeństwa, stępiają poczucie działania legalnego, czego wszystkiego oczywiście działalność czynników rządowych nie zdoła okiełzać. Z tych powodów należy to zważyć, że szukać ostatecznego źródła dzisiejszego układu stosunków trzeba nietylko w różnych odgłosach bolszewizmu, które uwidoczniają się w zuchwałych wybrykach, coraz częstszych bandyckich napadach. Inaczej też w takich warunkach wygląda oczywiście nasza obronna działalność. Choć bardzo znużonem jest społeczeństwo, wytężyć musi, dla obrony przed nieobliczalnymi ruchami wszystkie nasze zdolności, zasoby, musi wzmocnić wewnątrz siebie wiązania moralne, by uniknąć rozkładu i nie dać się zepchnąć w przepaść burzliwym żywiołom. Musimy ofiarnie nigdy nie unikać obowiązków, których podjąć się winny uświadomione narodowo i uczciwe czynniki naszego społeczeństwa. Jedynem lekarstwem — organizacya elementów, które potrafią postawić wyżej obowiązki ogólne nad ducha klasowości. Trzeba ująć w silne, jednolite zrzeszenia czynniki, umiejące dzisiaj pracować wytrwale, bez żadnego oportunizmu, bez celów pobocznych, dla rzeczywistej, prawdziwej, nieograniczonej niczem wolności, bez żadnego względu na wszelkie cudze polityczne interesy. Omijać nie wolno wielu grup, które bez powodu zasadniczego unikały ścisłego i ciągłego współdziałania, na zasadach, zupełnie zresztą uznających ich odrębność. Albowiem dzisiaj, wobec zewnętrznego niebezpieczeństwa, muszą związać się bardzo silnie wszyscy, bo ocalenie przyniesie narodowa łączność.

X.

*
* *

Niedawno temu wszystkie pisma galicyjskie powtórzyły za „Gazette de Lausanne“ wiadomość o traktacie zawartym między Niemcami a bolszewikami w Brześciu litewskim, dotyczącym w całości sprawy polskiej. Obecnie krąży dokładny, dosłowny tekst tego traktatu, którego wydobycie, czy też „sfabrykowanie“ (jak

utrzymują bolszewicy) spowodowało szereg aresztowań w polskich sferach politycznych w Petersburgu. Bolszewicy oczywiście przeczą autentyczności tego traktatu, ogłaszają go za apokryf. Jest to zupełnie zrozumiałe z ich stanowiska; przecież byłaby to jaskrawa próbka potępianej przez nich tajnej dyplomacyi i jeszcze jeden dowód upokorzeń, które spotkały bolszewików w Brześciu litewskim. Te bolszewickie zaprzeczenia podchwyciły odrazu niektóre pisma polskie, jak „Dziennik narodowy" w Petersburgu i „Czas" w Krakowie i przyjęły je za najbardziej wiarygodne wyjaśnienia. Według nich bolszewicy mówią prawdę, a p. Maryan Lutosławski i inni rzeczywiście trudnili się podrabianiem i puszczaniem w obieg fałszywych dokumentów. Widocznie więcej na wiarę zasługują bolszewickie zaprzeczenia. Trudno, wszystko zależy od tego, do kogo się ma większe zaufanie. Że jeden z punktów tego traktatu, dotyczący armii polskiej został już wprowadzony w życie, że zgodnie z traktatem wypuszcza się bolszewickich agitatorów do Królestwa kongresowego, na to „Czas" nie zwraca uwagi, poprzestaje tylko na udzielaniu moralnych nauk, że lepiej nie rozszerzać takich wiadomości, bo z tego wynikają aresztowania (możnaby jeszcze dodać, także nieprzyjemne refleksye dla niektórych polityków, którzy wtedy, gdy ten traktat miał być podpisany, donieśli oficyalnie, że sprawa udziału delegacyi polskiej w rokowaniach brzeskich jest na jak najlepszej drodze).

Stanowczy sąd o tym traktacie wyda dopiero historya. Na razie warto, zamiast zapoznawać się ze streszczeniem lozańskiem, rzucić okiem na pełny tekst tego traktatu, za którego atentyczność oczywiście biorą odpowiedzialność ci, którzy podali go do publicznej wiadomości. Brzmienie jego jest następujące: Protokół zebrania, zwołanego 22 grudnia 1917 roku, w obozie sztabu, przy udziale osób następujących: 1) przedstawiciele rządu rosyjskiego pp. Krylenko, Włodarskij, Załkind, Urickij, Raskolnikow, Fajerabend, Antonow, Dzierżynskij, Kudrajew, Skrypkin; 2) przedstawiciele dowództwa niemieckiego pp. v. Gott, Taubner, Erich, v. Shunemann, Rausch.

Zebrani doszli do porozumienia następującego:

I. Polityka polska prowadzona jest przez rząd niemiecki.

II. Rząd rosyjski nie miesza się w niczem do spraw, związanych z urządzaniem Polski, skutkiem czego nie ma prawa protestowania lub interpelowania: 1) w kwestyi odłączenia zagłębia

metalurgicznego i węglowego w Dąbrowie i przyłączenia go do terytoryum niemieckiego; 2) w kwestyi ograniczenia praw osób pochodzenia polskiego do zajmowania się przemysłem naftowym w Galicyi; 3) w kwestyi odłączenia i urządzenia prowincyi chełmskiej; 4) w kwestyi polityki celnej Niemiec, Austro-Węgier, Litwy, Kurlandyi, Estlandyi i Liwlandyi, o ile ta dotyczy Polski; 5) w kwestyi polityki ekonomicznej Niemiec i Austro-Węgier w prowincyi poznańskiej, w Galicyi, oraz w prowincyach świeżo odłączonych od Rosyi.

III. Rada Komisarzy Ludowych ma prawo pozostawać w kontakcie z ośrodkiem rewolucyjno-demokratycznym powstałym w Polsce, w celu propagandy idei rewolucyi społecznej, przez wysyłanie do Polski agitatorów, którzy winni być wciągnięci na listy biur wywiadowczych niemieckich w Piotrogrodzie, jak również i w Warszawie.

IV. Wysyłanie agitatorów do Niemiec i Austro-Węgier zostaje przez Radę Komisarzy Ludowych przerwane.

V. Rada Komisarzy Ludowych ma czuwać nad grupami szowinistów polskich, aby przeszkadzać im w werbunku ochotników do armii terytoryalnej w Rosyi.

VI. Przejście przez uzbrojone wojska polskie granic Litwy, Ukrainy, północnego i północno-wschodniego frontu będzie uważane przez Rosyę, jako wypowiedzenie przez Polskę wojny cesarstwom Niemieckiemu i Austro-węgierskiemu, a Rosya ma okazać wszelką pomoc Niemcom i Austro-Węgrom w zniesieniu tych wojsk.

VII. Rada Komisarzy Ludowych przez przedstawicieli swoich na przyszłym kongresie pokoju światowego ma protestować przeciwko stworzeniu armii polskiej i ministeryum wojny, w imię socyalizmu i zniesienia wojen.

VIII. Rada Komisarzy Ludowych przez swoich agentów finansowych ma czuwać nad tem, aby obywatele rosyjscy nie umieszczali swoich funduszów, ani też kapitałów francuskich, angielskich, ani amerykańskich w żadnych przedsiębiorstwach, przemysłowych, miejskich, kolejowych i żeglugowych w Polsce.

IX. Jeżeli rządy ces. Niemieckiego albo Austro-Węgierskiego uznają konieczność zupełnej zmiany ich kursu politycznego w stosunku do Polski, Rząd Komisarzy Ludowych zobowiązuje się do uznania tego nowego kursu i obrony tegoż przed przeszkodami ze strony sprzymierzeńców b. cesarstwa rosyjskiego.

Protokół został podpisany przez osoby wymienione.

Kopje w trzech egzemplarzach dokonane, porównane z oryginałem, zostały uznane za zgodne z nim d. 15 stycznia 1918 r., Nr. 82/924 ann. Nr. 129.

Naczelnik niemieckiego biura wywiadowczego
podpisano *A. Hafer.*
Adjutant podpisano *M. Kreissler.*

* * *

Na dorocznem, uroczystem posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie, odbytem 18 maja 1918 r., wygłosił prof. J. Morozewicz odczyt p. t. „Przyroda Polski wobec zadań gospodarczych państwa polskiego". Prelegent przedstawił zasoby, jakie kryje w sobie ziemia polska, naszkicował geograficzne warunki przyszłego naszego rozwoju. Znajdujemy w tym wykładzie wiele bardzo ciekawych faktów, mało znanych szerszemu agółowi. Niektóre wiadomości nie są znane prawie nikomu u nas, tak n. p, szczegóły, które podaje prelegent o stanie zniszczenia wojennego w Polsce. Najbardziej interesującemi są wiadomości o leśnej gospodarce, prowadzonej obecnie na ziemiach polskich. Przytaczamy je tutaj w całości, by w ten sposób zainteresować czytelników całą rozprawą prof. Morozewicza:

„Obie okupacye Królestwa przystąpiły z jaknajwiększą energją i pospiechem do eksploatacyi pozostałych jeszcze resztek, zwłaszcza lasów skarbowych i donacyjnych. Według relacyi J. Miklaszewskiego[1]), jenerał-gubernatorstwo Warszawskie zarekwirowało niemal $^1/_3$ całego obszaru będących w niem lasów, to znaczy 334 tysiące morgów. Z tego jeszcze przed styczniem r. 1917 wyrąbano w pień 28 tysięcy morgów lasu, „tak, iż o nim teraz zaledwie pamięć pozostała". W miarę zagospodarowywania się zarząd wojskowy, rozporządzający „świetnym aparatem administracyjnym", przedsięwziął w całej części Królestwa obróbkę drzewa na licznych tartakach „w łącznej ilości 400 gatrów wielorakich", które, pracując dzień i noc, przerabiają w ciągu jednego roku nie mniej jak 6 milionów metrów sześciennych drzewa, co odpowiada 10 milionom m^3 masy drzewa ściętego. Znaczy to, że władze nie-

---

[1]) Sylwan, t. XXXV. (1917).

mieckie wyrębują „przeszło czterokrotny etat roczny“, czyli przeszło cztery razy więcej, niż wynosi przyrost roczny drzewostanu w całym obszarze. Innemi słowy, nie jest to już eksploatacya racyonalna, lecz zwykła grabież kapitału leśnego. Prócz tego, w stanie nieobrobionym wywędrowały na zachód miliony sztuk z najlepszych wysokopiennych lasów polskich, zarówno drogami lądowemi jak wodnemi. Z polskiego drzewa odbudowano Prusy Wschodnie z pospiechem i sprawnością podziwu godną. Rynek drzewny niemiecki, jak opiewają urzędowe biuletyny, nie odczuwa już braku drzewa. „Keine Holznot in Deutschland“. Ale zato w Polsce znikły z powierzchni wielkie puszcze leśne, słynne z nieprzebranych skarbów wspaniałego budulca. Tak padły pod ciosami przemocy puszcze Kurpiowska i Myszyniecka, tak w połowie już zrabowane, legły najpiękniejsze i najcenniejsze drzewostany lasów Skierniewickich. Celem dostawy tych skarbów do stacyj kolejowych i przystani rzecznych zbudowano w 24 lasach specyalne kolejki wąskotorowe i drogi bite. Charakterystyczna przytem, że tę „eksploatacyę“ lasów Królestwa zarząd wojskowy niemiecki uważa niejako za łup wojenny: „kwity rekwizycyjne bowiem za wyrąbany materyał tylko w wyjątkowych przypadkach bywają wydawane“.

W okupacyi austryacko-węgierskiej, w miarę sił i możności, prowadzi się także ożywiony wyrąb lasów ponad dozwolony etat roczny. Funkcyonuje tu 18 tartaków w Piotrkowskiem, Kieleckiem i Radomskiem, dobrano się już zapomocą 40-kilometrowej kolejki wązkotorowej nawet do zapadłych lasów w Górach Świętokrzyskich, gdzie, zdawało się, tak bezpiecznie drzemały kilkowiekowe olbrzymy jodłowe...

„Największe i najcięższe jednak ciosy spadły na lasy Litwy i Białorusi“. W ciągu jednego tylko roku 1917, wedle urzędowej statystyki niemieckiej, spławiono Niemnem do Niemiec rozmaitych gatunków drzewa za 12 milionów marek, nie licząc tego budulca, który wywozi się kolejami i który przechowuje się na licznych składach w Grodnie, Kownie i Wilnie. W sposób szczególnie troskliwy zaopiekowano się królewskimi lasami Białowieży. Skrupulatnie wymierzono jej obszar na 128,000 *ha* i oszacowano wartość jej drzewostanu na 700 do 800 milionów marek niemieckich. Przedwojenna administracya dworsko-rosyjska pozostawiła ten unikat europejski, spuściznę Jagiellonów, w stanie prawie nietknię-

tym: nie niszczono niepotrzebnie lasów, opiekowano się zwierzętami, bawiono się i polowano. Burza wojenna przyniosła tu nowe porządki. Tysiące spędzonych robotników, pod komendą całego sztabu oficerów i żołnierzy pruskich, uwijają się koło trzebieży dziewiczej do niedawna puszczy. Podzielono ją na rewiry, ułożono „na razie“ jak mówi sprawozdanie z października 1916 r., 120 *km* kolejek konnych i 24 *km* kolejek parowych; pobudowano ładownie po 400 *m* długie, tak iżby transport nie ulegał przerwie i ażeby można było wysyłać 25 do 30 wagonów dziennie. Do obróbki wspaniałych sosen starodrzewnych, podziwianych przez znawców niemieckich, wybudowano nadzwyczajny tartak „dra Eschericha, opasany z trzech stron torami kolejowymi, z lokomobilą o sile 350 koni i 10 gatrami“. W Nowym Moście, w pobliżu Hajnówki, wzniesiono „piec do pędzenia terpentyny i smoły, pojemności 100 m^3, produkujący w ciągu 16-dniowej kampanii 1700 *kg* oleju terpentynowego, 1260 *kg* smoły i 4000 *kg* węgla drzewnego“.

Nie zapomniano i o zwierzynie. Słynne żubry, których narachowano około 150 sztuk i które za czasów rosyjskich, zdaniem łowców niemieckich, nadmiernie „przekarmiono“, zostały skazane na dyetę i pozostawione własnemu przemysłowi przez całą zimę. Ma to na nie działać odmładzająco. Również i wśród społeczeństwa jeleni, których liczba wskutek „przesadnego pielęgnowania“ wzrosła w r. 1911 do 10,000 sztuk o nieodpowiednim stosunku płci, został zaprowadzony porządek „przez radykalny odstrzał danieli“, jak głosi referat urzędowy[1]).

Przyszły rząd narodowy odpowiednio oceni fatalny stan lasów naszych i szczególniejszą opieką otoczy ich resztki. Tak, jak dzisiaj rzeczy stoją, Polska przez długie lata nie może wywieźć, czy też spławić za granicę ani jednego pnia drzewnego! Rozmiary klęski, jaką kraj nasz poniósł w lasach, okażą się w całej grozie dopiero po wojnie“.

Fakty te potrzebują wyjaśnień. Wystarczy tylko dodać, że nie są one czemś odosobnionem, lecz typowym przykładem obecnej gospodarki na ziemiach polskich.

* * *

---

[1]) Sylwan, t. XXXV. (1917), str. 173.

Po śmierci Józefa II, który reformami swojemi, nie liczącemi się z tradycyą historyczną i stosunkami lokalnymi krajów, tworzących podówczas zlepek państwowy — przyprowadził Austryę na brzeg przepaści, zaczął się ruch wielki w poszczególnych krajach, a najsilniejszy w Galicyi, na którą specyalnie wpływały wielkie reformy sejmu 4-letniego i potężne odrodzenie narodowe. Przedstawiono w Wiedniu ułożony memoryał, gdzie wygotowany był plan nowej konstytucyi dla Galicyi, opierającej się na samorządzie t. zw. Carta Leopoldina; myśl tę popularyzowano, wydając broszurkę p. t. „Uwagi nad rządem Galicyjskim... 1790“. Argumenty tam przytoczone zbijał jeden z najzdolniejszych austryackich urzędników w Galicyi, Niemiec, radca gubernialny Kortum, przewodniczący loży wolnomularskiej, w wydanem anonimowo dziełku: *„Magna Charta von Galicien, Jassy* (właśc. Lwów) 1790“. Przyznawszy nieco słuszności, ale dużo więcej akcentując niewłaściwość zarzutów, sprowadza całą tę ówczesną akcyę polityczną do jednej przyczyny; warto poznać, dlaczego Polacy w tym czasie byli niezadowoleni i domagali się politycznych swobód. Autor argumentuje w ten sposób, zwracając się do szlachty (str. 182 i nast.): Galicya „przyszła“ pod panowanie austryackie bez najmniejszego zastrzeżenia i ograniczenia, jednak „od pierwszej chwili tej zmiany rządu uczuliście, żeście ze stanu najzupełniejszej wolności popadli w najsroższą niewolę. Nie mogliście pojąć, jak można się było odważyć na oddzielenie was od organizmu państwowego, który tylko tak długo istniał nienaruszony, jak długo jego sąsiedzi mieli różnorodne interesy... zawsze byliście bardzo skłonni do rachowania na wypadki i możliwości... aż do dnia dzisiejszego czekacie na jakiegoś Messyasza, który ma was wyswobodzić z pod panowania pogan czy też Niemców. Nie możecie się jeszcze przyzwyczaić do tej myśli, że wy teraz macie inną ojczyznę. Przez jakąś — może niewłasnowolną — assocyacyę pojąć, myślicie jeszcze ciągle o polskiej Rzeczypospolitej, gdy mówicie o patryotyźmie. Mowa, strój i obyczaje przywołują wam ciągle na pamięć wasze dawne stanowisko i krzyczycie przeciw niesprawiedliwości, gdy was się upomina, byście się liczyli z położeniem i nie próbowali głową muru przebijać. Zanadto głośno okazujecie waszą niechęć przeciw władzy i w swem zaślepieniu i przesądach żądacie rzeczy, które nie przynoszą zaszczytu ani waszemu sercu, ani sposobowi myślenia. Chcecie — ponieważ ina-

czej na razie nie możecie — z miejsca nazywać się austryacką prowincyą, ale równocześnie chcecie być — jak poprzednio — złączeni z Polską: interes tej Rzeczypospolitej ma być także i waszym, a wszystkie cechy, odróżniające was od waszych współbraci z za kordonu mają odpaść... przecież nawet Węgry nie wyraziły życzenia należenia z powrotem do tureckiego państwa lub do Rzeczypospolitej Weneckiej". Argumenty te, powtarzane dziś przez „najpoważniejszych" polityków obcych i swoich może i czytelnikom trafią do przekonania, tembardziej, że poznają wiek ich i źródło.

Sprawozdania.

Bank Ludowy 1867 — 1917 w Inowrocławiu. Poznań 1918, stron 56, z rycinami.

Samopomoc pieniężna w Wielkopolsce w początkach swoich tak słaba i nieudolna, święci — jak wiadomo — od szeregu lat tryumfy idei współdzielczości. Pod względem ilości kooperatyw i liczby członków może wprawdzie większemi poszczycić się cyframi Galicya i Królestwo — ciągłością jednostajną rozwoju spółek, zasobnością i skutecznością pracy swoich współdzielczych instytucyi wyżej stoi zabór pruski. Świadczą o tem prócz innych publikacyi monografie, wydawane przez spółki-jubilatki, które już pół wieku liczą sobie istnienia. W ich szereg wstąpiła w tym roku druga największa wielkopolska spółka: Bank ludowy w Inowrocławiu. Wielce pouczający i charakterystyczny jest rozwój tej spółki kujawskiej. Wśród ciężkiego stanu gospodarczego społeczeństwa wychodzi inicyatywa do założenia spółki ze sfer inteligencyi wiejskiej i miejskiej, do rady nadzorczej przybiera sobie rzemieślników i włościan; skład ten przesuwa się na korzyść sfer średnich, tylko zarząd przechodzi w ręce wykształconych w zawodzie bankierskim ekonomistów, gdyż rozwój spółki wymaga tego koniecznie. Liczy ona obecnie 1888 członków, mających udziałów 1,845.101 marek (na głowę przypada zatem blisko 1000 m, tyle wynosi też wedle statutów udział), rezerw 583.608 m, wkładek 12 milionów. A więc rozwój uderzający, jeśli się jeszcze zważy, że na Kujawach gęsto spółki polskie są rozsiane. A wpływ jej na życie gospodarcze? W r. 1848 nie było jeszcze żadnego polskiego kupca w Inowrocławiu, a jedyny rzemieślnik krawiec nie mógł się ostać wobec konkurencyi żydowskiej — później zaś osiedlający się rzemieślnicy i kupcy polscy, wywodzący się prawie wyłącznie z rodzin rolniczych, chcąc się ostać, najczęściej obok swej profesyi uprawiali drobne gospodarstwa rolnicze. W tym czasie też obywateli ziemskich ubywało coraz więcej, a zagrody włościańskie przechodziły licznie w obce ręce. Zdawało się, że nie ma wobec braku kredytu ratunku dla żywiołu polskiego. Co Bank Ludowy zdziałał, wynika z prostych cyfr: W r. 1917 pożyczył pieniędzy 133 przemysłowcom i rzemieślnikom z własnością nieruchomą, a 208 bez własności (w r. 1875 mógł to uczynić tylko wobec 22 względnie 35). Pozatem czerpie kredyt ze Spółki 1216 okolicznych włościan i chałupników (w r. 1875 tylko 68). Jest to wśród kategoryi rolniczej (stanowiącej 79% wszystkich członków) jedyna, która stale wzrasta (ubywa w ostatnich latach ziemian i dzierżawców z 95—77, z 63—7).

Odpowiednio więc do swego celu więcej nadaje się Bank Ludowy do zaspokojenia potrzeb przedsiębiorstw mniejszych. Przy wielkich zyskach, jakie Bank wykazuje (165.867 m.) i 8% dywidendy, dzięki wielkim kapitałom własnym (1 : 3,4) i przezornej gospodarce stopa procentowa pożyczek jest stosunkowo niska (5—6%). Jednem słowem, stanowi spółka kujawska przykład pożytecznej i wydajnej pod każdym względem pracy współdzielczej, a o poziomie kulturalnym zarządu dodatnio świadczy monografia jubileuszowa. Doskonały pogląd na rozwój zewnętrzny przybytku Spółki dają ilustracye, pokazujące, jak skromne były jej początki, a jak okazały gmach własny, w którym mieści się obecnie.

* * *

Polen nu och i forna dagar. Av J. Armfelt och W. de Pomian. Med en översättning av Henryk Sienkiewicz's sista novell. Stockholm. Svenska Andels förlaget.

Publicystyka polska na obczyźnie podczas wielkiej wojny będzie miała swoją historyę. Nie odrazu należycie zorganizowana, początkowo słaba i sporadyczna, wogóle stosunkowo mniej obrotna, niż np. publicystyka ukraińców, doszła ona jednak z czasem do znacznego rozwoju, i ujawniając się w artykułach, broszurach, książkach, oddała sprawie naszej poważne usługi. Są w niej karty mniej udatne, zanieczyszczone jednostronną tendencyą — jakby pisane na zamówienie czynników obcych, ale nie brak też głosów czystych, wyrażających całą pełnię naszej narodowej woli do życia, bez przedwczesnych kompromisów na prawo lub lewo.

Do takich udatnych głosów należy książka o Polsce współczesnej i dawnej, wyszła w Sztokholmie w początkach roku 1917 z pod pióra baronowej Józefy Armfeltowej i jej siostry, p. Wandy Pomian-Hajdukiewiczówny. Zaopatrzywszy czytelnika w ogólne informacye o Polsce i Polakach tudzież o brzmieniu i znaczeniu nazw polsko-litewskich, autorki śmiało przystępują do zagadnienia: dlaczego Polska upadła, i rozwiązują je (zdaje się, z pomocą znanej książki Balzera) sposobem porównawczym, wskazując jako główną i bezpośrednią przyczynę obcy napad, a nie wewnętrzne nasze niedomagania, z któremi wiele podobieństwa miewały usterki innych narodów. Wywód ten poparty jest niezłym argumentem *ad personam* czytelnika: wszak i Szwecya miała w XVIII wieku swoje dość anarchiczne „czasy wolnościowe", a nie zginęła po części dlatego, ponieważ nie ściągnęła na siebie wilczego apetytu sąsiadów. Rozdział o kulturze polskiej nieco zbyt zwięzły, poucza o naszej nauce, poezyi, sztuce, przemyśle, oświacie.

Dalej zaczyna się wędrówka po różnych dzielnicach dawnej Rzplitej, przedewszystkiem zaś po tej najstarszej dzielnicy zachodniej, „gdzie stała kołyska państwa polskiego". Artykuły o Poznaniu, Gnieźnie, Gdańsku, Toruniu, Warszawie, Wilnie, Krakowie, Lwowie, pełne dat i cyfr, wykazują siłę i dawność polskiego życia nawet tam, gdzie skandynawczyk skłonny jest widzieć już tylko Niemcy lub Rosyę. Przy sposobności wplatają autorki malownicze opisy Karpat, Wieliczki, zagłębia naftowego w Galicyi, a nie omieszkują też przytoczyć wolnego przekładu „Boże coś Polskę" oraz aktu Unii Horodelskiej. Względnie najkróciej po-

traktowane zostało Królestwo, zapewne dlatego, ponieważ o jego polskości czytelnik cudzoziemiec najmocniej jest przekonany.

Końcowe rozdziały wracają do kwestyi ogólnych: traktują one o stosunkach polsko-ruskich, o protestantach w Polsce, o Żydach, wreszcie o stanie gospodarczym naszego społeczeństwa i o jego zdolności organizacyjnej, którą musieli uznać nawet Niemcy po okupacyi Królestwa w r. 1915. Zamyka książkę tłómaczgnie ostatniej noweli Sienkiewicza.

Ilustracye dobrane umiejętnie i wykonane starannie. Mapka zbyt ogólnikowa pozostawia sporo do życzenia. W szczegółach tekstu dałoby się to i owo poprawić. Kazimierz Wielki był III lub I, lecz w żadnym razie nie II władcą Polski tego imienia (14). „Pyrrhus de Varilla" nie „przejeżdżał" przez Polskę w r. 1750 i nie pisał pamiętników (19). *Neminem captivabimus* datuje się z r. 1430, nie 1425 (21). Nie wiadomo, czem „godne" miały być sejmy w krajach austryackich niż w Polsce (21). Witaliusa-Ciołka nie należało plątać z humanistą biskupem Erazmem Ciołkiem (24, 29). Mateusza Cholewę lepiej było opuścić (29); Bolesław Wstydliwy nie był królem (124), i t. d. Ale mniejsza o takie drobiazgowe lapsusy.

Książka pań Armfeltowej i Pomian Hajdukiewiczówny pisana popularnie, żywo, z gorącem uczuciem patryotycznem, nadaje się wybornie do rozbudzenia wśród ogółu szwedzkiego zainteresowania i sympatyi ku Polsce, a że spełnia ona swe zadanie, tego dowodem szereg przychylnych opinii prasy szwedzkiej, która przyznaje, że autorki umiały taktownie, z szlachetną delikatnością omawiać nawet tak drażliwe przedmioty, jak sprawę żydowską lub ruską. Jedyny pod tym względem wyjątek zaszedł na łamach „Svenska Dagbladet". Pan Ernst Klein, lubo nie obeznany należycie ani z kulturą naszego ghetta, ani z duchem szwedzkiego języka, uznał za stosowne ująć się za swymi współplemieńcami z nad Wisły i napiętnować jeszcze raz pamiętny bojkot 1912—14 roku. Krytyk dopatrzył się braku humanitaryzmu i poczucia sprawiedliwości m. inn. w tym ustępie książki, który przypominał, jak Polacy w r. 1913 powoływali się na szwedzkie hasło: „Popieraj szwedzki przemysł, kupuj szwedzkie towary". Pan Klein dostał ciętą odprawę, bo też nie popisał się ani wyższą znajomością faktów, ani logiką. Ale ponieważ miał ostatni głos i dużo... odwagi polemicznej, więc w swojem przekonaniu zwyciężył. *W. K.*

* * *

Hajdukiewicz Józef. *Historya prywatnego polskiego gimnazyum realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej,* w pierwszych ośmiu latach istnienia. Cieszyn 1918.

Ośm lat dla szkoły średniej to akurat okres czasu, w którym jedno pokolenie może ją przejść od pierwszej do ostatniej klasy. Dobrze przeto zrobili inicyatorowie powyższej publikacyi, że wypuszczając w świat pierwszy zastęp maturzystów chcieli dać nam rzut oka na to pierwsze ośmiolecie swych prac i wysiłków na tak ważnej kulturalnej placówce naszych kresów zachodnich.

Sprawozdanie daleko odbiega od zwykłego szablonu podobnych publikacyi. Uderza w nim głęboki podkład wiadomości historycznych, ekonomicznych i statystycznych, w świetle których jasnem się staje, jak ważnem było powołanie do życia gimnazyum Orłowskiego i jak koniecznem jest czuwać nad dalszem jego

utrzymaniem i rozwojem. Po ośmiu latach istnienia staje się ono najbardziej uczęszczaną szkołą średnią na całym Śląsku, a liczba zgłaszającej się do niej młodzieży jest dwa razy większą od przeciętnej liczby młodzieży, zgłaszającej się do innych gimnazyów śląskich.

Mamy w sprawozdaniu dużo ciekawych wiadomości o wewnętrznem życiu szkoły, o tej opiece, jaką zakład roztacza nad młodzieżą, o tem, jak interesuje się jej stosunkami rodzinnymi i ekonomicznymi. U nas, gdzie przecenia się udział czynników urzędowych w życiu szkoły, przykład tego co prywatna inicyatywa poparta przez społeczeństwo może w tej dziedzinie zdziałać, zasługuje na szczególną uwagę. Sferom szkolnym może więc publikacya prof. Hajdukiewicza dać dużo do myślenia, a dla całego naszego społeczeństwa jest ona dowodem, że grosz, o który kresy zachodnie tak często się do niego zwracały, nie poszedł na marne, i że ci, którzy nim rozporządzają, w zupełności na dalsze zaufanie i poparcie zasługują.

A. W.